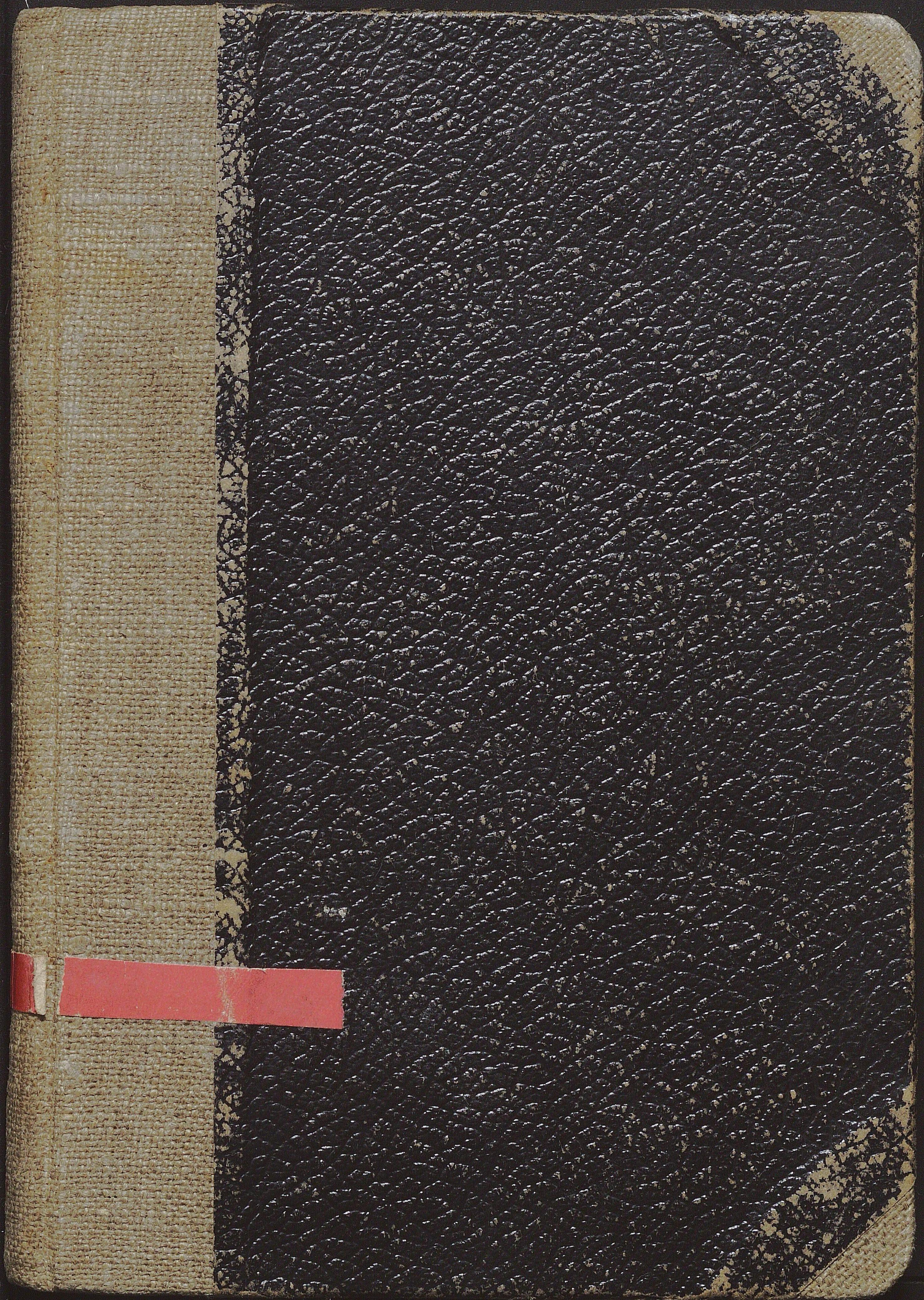
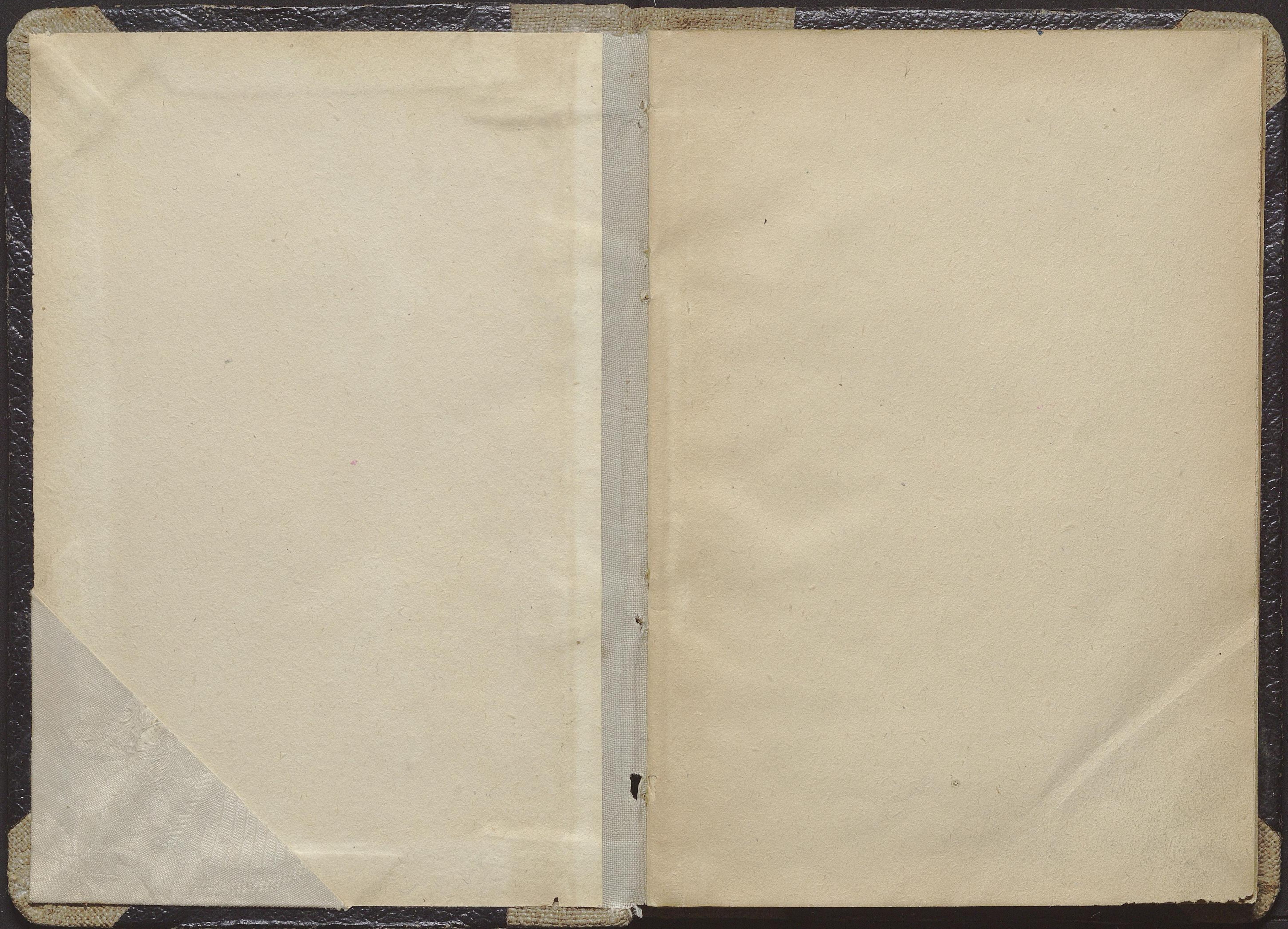










BAJECZNY SWIAT TATR



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

# BAJECZNY ŚWIAT TATR

Wydawnictwo popularne

Pierwsze wydanie 1905 r.



WARSZAWA  
BIBLIOTEKA GROSZOWA





**BIBLIOTEKA GROSZOWA**  
**WYDAWNICTWO TYGODNIOWE**  
REDAKTOR STANISŁAW MIKOŁAJ LUBA  
WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA  
Warszawa, ul. Moniuszki 11; Konto P. K. O. 11.140.

**WARUNKI PRENUMERATY:**  
Łącznie z dodatkami dla młodzieży i magazynem nHP, z przesyłką pocztową: kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95, a w oprawach . . . . „ 13 „ 95.  
Prenumeratę przyjmuje Administracja Biblioteki Groszowej i wszystkie urzędy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.



Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. S-go Rocha 3,

Góry są całe jakąś baśnią świata. W porównaniu do reszty ziemi wyglądają zupełnie nieprawdopodobnie. W jakiś jasny, słoneczny, pogodny ranek, kiedy skały wydają się z polotnej złocisto-błękitnej mgły utkane; w ponury, chmurny, wichrowy dzień, kiedy zdają się być kłębami potwornych fal przelewającego się światła; w cichą, majestatyczną noc, kiedy wyglądają jak zaczarowany gród o ścianach i wieżach z kagańcami z gwiazd, z jeziorami jak olbrzymie tafle metalu—zdaje się, że się to ziemia śni.

Nadmysłowego coś jest w górach i rzeczywiście inaczej tam „piers oddycha”, inaczej się tam czuje i myśli. „Cóż to jest, góry—powiada gdzieś Goszczyński — ta dziwna potęga, przywiązana do was?... Tajemnica ta musi kryć się w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy... w tem, co podnosi was nad poziom ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień tajemniczych... Może coś być w was, co ma związek z al-zmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a zatem ściślejszy, bliższy



i silniejszy... Uczucie tam jest więcej roztopione, więcej rozlewające się, pełniej gorejące, silniej bijące ku górze, ku światom wyższym..."

Od niepamiętnych czasów góry oddziaływają podniecająco na umysł ludzki, na jego zdolności i moce twórcze, pobudzają fantazję człowieka i, stawiając mu przed oczy nadzwyczajne, gdzie indziej niespotykane i nieskończenie różne obrazy, pobudzają do oddźwięku jego własną wewnętrzną wyobraźnię. Gdy się patrzy gdzieś z wierzchu albo z przełęczy w deszczowy burzliwy dzień, gdy się doinami przez wąwozy, między załomy skalne po polanach włóczą korowody mgieł—ileż tam widzi się widm, kształtów, postaci i scen! Za jakimiś marami, które zdają się wionąć śmiercią na pustkowia, lecą orły o rozpostartych skrzydłach; na przerażających smokach kołysają się najwdzięczniejsze rusalki; pełzną gady, przerastające w kolosalne potwory, podobne do stada szalonych słoni, z których wylania się majestatyczny las kwiatów o czarach i kielichach, zasłaniających niebo, o liściach, oplatających wierzchołki skalne, a las ten kwiatów rozleje się w jedno niezmierne morze mgły, głuche, bezdenne i nieruchome—skąd w chwilę później poczynają się wydobywać ostre, posępne, wilgotne, ciemne turnie, po których od czasu do czasu prześlizgnie się blask skrytego słońca jak błysk cichego piorunu...

Ileż obrazów daje w nocy las, taki bór odwieczny, w którym szumi, grzmi i jęczy woda,

pedzająca po progach i zrębach granitu, lub szeroka pusta dolina, gdy na niej leży nocny mrok, na hali i na jeziorze... Tak, naprawdę! oto tam, koło wody jeziora, która jednotonnie, nieustannie pluszcze, kroczy mni h, owo widmo Tatr...

Ukazuje on się, kiedy na ziemie dolne ma spaść powódź. Widmo złe i straszne. Porywało niegdyś dziewczęta i unosiło gdzieś ze sobą w przepaście.

W samotności nocnej, gdzieś w dzikiej dolinie, pełnej rumu i głazów, nad martwymi jeziorkami, pod straszną grozą kamiennych ścian, błazącemu po bezdrożach strzelcowi lada mgła, przesuwająca się wolno przed oczyma, przybierała kształt mnicha, o którym słyszał, o którym myślał i którego spodziewał się zobaczyć.

W Morskiem Oku miała być ryba ogromna, z baranią głową, porywająca owce czarne. Miała mieć wielki diament we łbie między oczami. Wiem, że nieboszczyk Wojtek Samek, którego znałem jeszcze dzieckiem, „strzelał do tej ryby”.

„Widział” także rybę taką niejaki chłop Wirzdzinnik, jak „jechała z pół stawu (Rybego) z oźdzawionym pyske w biały dzień”; „widział” ją także stary Wala nieboszczyk. Coby to być mogło—trudno dociec, zwłaszcza, że miała porywać owce. Wielkie ryby w Morskiem Oku są, ale są to, jak jedni twierdzą, łososie, jak inni—jakieś olbrzymiej wielkości pstrągi. Są to ryby bardzo grube i z dużymi stosunkowo łbami—widzi się je osobliwie w zimie przy upuszcie pod cienkim lodem. Być może, że



jakiemuś wizjonerowi wydra, wynurzająca się z wody i płynąca z pyskiem nad powierzchnią, wydała się potworem. W każdym razie obecnie „kasi się ty ryby podziały”.\*)

Wilkołaki, strzygonie czyli upiory, dziwożony zaludniały Tatry i okolice. Strzygonie ssaly ludzką krew przez sen lub dusiły ludzi we śnie. Najstraszniejsze były Wilkołaki, które właściwie nie były duchami, ale ludźmi, których przekleństwo za jakąś zbrodnię zmuszało przeobrażać się od czasu do czasu we wilka i zło bliźnim wyrządzać, tem więcej i własną pogarszając dołę. Taki człowiek-wilkołak, gdy na niego przyjdzie czas przemiany, wychodzi na pień ściętego drzewa, skacze stamtąd, wywraca w powietrzu koziółka i staje się wilkołakiem. Gonił on ludzi, bydło, wszystko, co żyło, gryzł, szarpał i mordował. Wilkołak miał kształt ludzki z wilczą głową\*\*).

\*) Dr. Eljasz Radzikowski cytuje, iż Augustowi II ofiarowano kości z całego smoka z Tatr, które kazał zawiesić w Gruene Gewoelbe w Dreźnie, za Stanisława Augusta zaś podziwiano belki z okrętu, wyłowione w Morskiem Oku. Miała tam być także ryba od potopu świata, z grzbietem, ze starości porośniętym mchami i pieśnią. Rybę czarną zwierzchu a sinobiałą od spodu, wielkości łosia widział autor, krążącą w przerębli Morskiego Oka, w zimie. Ma to być okaz w zoologii nienotowany.

\*\*) Po naszej stronie Tatr mało dziś wiedzą o wilkołakach, na Liptowie jednak opowiadają historję o chłopie wilkołaku który chciał własne córki pozjadać. Udało mu się to z dwiema starszemi, ale trzecia, najmłodsza, uciekła mu z pod rąk

Zupełnie oryginalnym wytworem góralskiej wyobraźni są dziwożony. Nazwa ich prawdopodobnie pochodzi od dziwy, po słowacku *dziki*, i prawdopodobnie powinno się mówić *dziwa żona* czyli dzika kobieta, na słowacczyźnie bowiem *żena* znaczy kobieta i u starych polskich Górali często się słyszało *żiena* ze słowacka zamiast *kobieta*.

Opowiadają o nich:

Po usypach, po dziurach nad potokami, po żlebach na hali siedziały dziwożony. Chodziły nago, polobne były do kobiet, bardzo brzydkie, kosmate,

Wtedy rozpoczyna się poś ig rozbestwionego upiora za dziewczyną, która rzuca za siebie wszystko, co jest na niej, wołając, — „Nie dogonisz mnie, nie dogonisz, zanim tego ręcznika (spódnice, koszulę i t. d.) nie roztargasz, nie rozstrzepiesz, nie utkasz i znowu nie uszyjesz!” — co on zawsze w pół godziny wypełnia. Zupełnie naga dobiega wreszcie łąki, na której stoi sto kóp siana. Kryje się w najmniejszej i powtarza się to, co jest prawie stałą cechą opowiadań chłopskich: wilkołak rozrzuca dziewięćdziesiąt dziewięć kóp, a potem mówi: — „No, kiedy jej w dziewięćdziesięciu dziewięciu nie było, to i w tej ostatniej nie będzie!” — i odchodzi.

Potem już opowiadanie odstępuje wilkołaka; zajmuje się losami dziewczyny, której do kopy siana nosi jeść młody królewski pies legawy; król ją znajduje, żeni się z nią i ma dwoje dzieci, ona zaś o jedno go tylko prosi, aby nie przyjmował na noc do zamku wędrownych żebraków. Raz się to zdarza, żebrak w nocy podrzyna dzieciom gardła, a nóż podkłada pod poduszkę królowej — swojej córce, jest to bowiem wilkołak-ojciec. Pomimo że królowej ręce po łokcie ucięto i na pastwę ją owemu żebrakowi dano, wszystko się dobrze kończy: dzieci ożywają, ręce odrastają i król napowrót żonę bierze do siebie.



o świecących jak kaganki oczach, o rozpuszczonych czarnych włosach i niezmiernie długich pierśsiach, tak długich, że sobie je mogły przerzucać na ramię i klepały niemi bieliznę przy praniu zamiast kijanek. Nieraz zdaleka słyhać było, jak dziwożony piorą nad potokiem. Na głowach nosiły czerwone czapeczki albo wianki, wite z jaskiernika.

Mówiły po ludzku, tańczyły, śpiewały, zbierały maliny, grzyby, jagody i to jadły; osobliwie lubiły ziele zwane słodyczką.

Miewały dzieci, ale kto bywał ojcem tych dzieci, podanie milczy.

Złośliwe były nad wyraz. Porywały one babom wiejskim niemowlęta i zostawiały na ich miejscu swoje potworne — i dla położnic zwłaszcza były tak niebezpieczne, że „przez sześć pierwszych tygodni trzeba było chaupę zamykać, a chłop musiał siedzieć przy bacie”. Porywały zresztą nietylko dzieci, ale i dziewczyny dorosłe i same baby nawet i miały je ssać. Baby i dziewczęta musiały włosy strzyc, żeby ich nie miały za co dziwożony chwycić: „wte kieby sie bé a baba wydano w jeden warkoc zapletła abo dziewczka we dwa — to jus béla ig. Béda jom było chłopu i cepami wybronić”. Wysysały też mleko owcom i krowom na pastwiskach albo się do szopy zakradały.

Na dziecko, gdy ukradły, był taki sposób: wynosiło się podłożonego potomka dziwożony przed dom w pole i póty biło się bez miłosierdzia, aż

na jego wrzask pojawiła się dziwożona i odniosła ukradzione dziecko, a wzięła swoje.

Dziwną moc miały nad niemi kwiatki, zwane dzwonki. Gdy kobieta, wleczona przez dziwożony w usyp, chwyciła się ręką dzwonków na łące, musiały ją puścić. Razu pewnego, gdy Góralkę z Mięstusztwa unosiły, na krzyk jej popędzi konno chłop sąsiad na ratunek; szczęściem jedna z dziwożon była kulawa — i tę dojechał. Łap ją za leś, a że cepy wziął ku sobie, zaczął bić, co wlezie. Dopiero dziwożona ją wołać: — „Cudza żonka, chwyc się dzwonka” — i w ten sposób kobieta się uratowała.

Tak samo wyzwoliła się z ich rąk dziewczyna ze ws Łopusznej za Nowym Targiem. Ta znękła bez śladu i długo jej nie było, dopiero przypadkiem któryś z Górali napotkał ją w największej dziczy leśnej, piorącą bieliznę. Z płaczem opowiedziała mu, że ją dziwożony tu zawiodły, i błagała, aby ją od nich wyratował. Unówili się na dzień sposobny, i Góral konno przyjechał, aleści ledwie dziewczyna na koń za nim siadła i z lasu wychyli na łąkę, tłum dziwożon z hałasem, wyciem i odgrózkami wypadł jak z pod ziemi.

Nie byliby uciekli, bo obiegiy wkoło, ale dziewczyna znając je już dobrze, krzyknęła więc na chłopów:

— Trzym się dzwonków!

Tak jechali po łące, od kępki dzwonków do kępki, a że łąka pełna ich była, dziwożony musiały zdala okrażać, i zdołali im zbiec.



Śniałe były dziwożony do kobiet i do starych albo n edoleżnych chłopów: tęgich, młodych bały się i wołały unikać. Pewien gazda napotkał w nocy dziwożonę, jak mu wykopywała ziemniaki, które w ta ntej okolicy, od Czarne go Dunajca, rzepą nazywają; jak ze złodziejki, zdarł jej z głowy czerwoną czapeczkę. To potem noc po nocy podbiegała mu pod okna, a wołała żałośnie:

Chłopecku, chłopecku, wróć mojom copecke,  
Nie bedem juz chodźć na twojom rzepeckel

Aż jej i wrócił.

Dziwożony kradły, co mogły. Znana jest historia, jak ukradły Byrtasiowi z pod Kościelisk fujarę i potem wypychały mu mech ze szpar w ścianach wtykały tę fujarę i trąbiły, wołając: „Nie tak, Byrtuś, nie tak, ba se tak: buuu, buuu! prrrru, prrru, buuu!” — że go to niby uczą grać, a on był muzykant (muzyka — po góralsku), na okolicę sławny.

Pijanice były zawzięte. Kaźmиковi Płazie, który miał browar w Chocholowie, wypijały piwo regularnie z beczek, aż się raz naumór popiły i przydybano je w obejściu. Wtedy je Płaza ogniem porzył i wyniosły się całkiem z tamtej okolicy.

Miały mieć bajeczne podziemne skarby: złote mosty w pieczarach na wodach, ściany, powały i podłogi z drogich kamieni, korytarze, ciągnące się pod ziemią na wiele mil. Ale tam wejść nie mógł nikt, a kto wszedł, ten tylko za cud mógł uważać, że się stamtąd wydostał.

Chłopi, których się pytałem, coby to mogło być dziwożony, nie umieją wytłumaczyć. Być może, że naszły niegdyś okolicę Cyganki, i historia o nich rozniosła się szeroko i urosła do nadzwyczajnych rozmiarów. Być może, że Cyganki osiedliły się w usypach nad potokami, gdzie łatwo dziury było na mieszkanie grzebać i woda była pod ręką — a po dziś porywają one chętnie dzieci.

Po lasach, po gęstwinach, mieszkały boginki: te były ładne, psotne i dokuczne, ale nie tak złe, jak dziwożony. Można było być z nimi w przyjaźni, a nawet służywały ludziom. Największą ich uciechą było zwieść parobka, zaprowadzić go w nocy na błota i tak omamić, że całą noc błądził, a do domu trafić nie mógł.

Jakieś także małe duszki wędrują Tatrami, i Jędrzej Wala ze Zakopanego (który do dziś na Węgrzech pod Eperiesz, dokąd się wyniósł, żyje) mówił mi, że idąc raz bardzo rano doliną Kościeliską, ślady stópek takiego duszka na mokrej ziemi widział. Było to obute w kierzpce, „w kyrpcoski takie malućkie, bars fajne, kielo mniejse, jako u dziecka”.

Mnóstwo strasznych widm i duchów snuło się nocami. Juhaś w Małej Łące straszyło widziadło — juhas w czarnej smolnej koszuli, w pasie, nabitym mosiądzem, który się błakał po lasach, dźwigając na ramionach kawały surowego, krwią ociekającego mięsa — i mięso to szarpał zębami. Miał to



być zbrodniarz wielki, a to mięso krwawe, które mu na ramionach wisiało, to były jego grzechy.

Djabły i Złe prześladowały ludzi. Nieraz chłopu, samotnemu strzelcowi albo idącemu na robotę do kopalni węgla na Węgrzech przez Tatry górnikowi, gdy go noc gdzie w borze zaszła, odezwało się Złe jak sowa. Odezwało się raz, odezwało drugi, zahuczało trzeci raz, a gdybyś mu był odpowiedział—przyszło. Wtenczas trza było serdak go góry włosem wdziać, strzelbę popod kolano kurkiem nadół obrócić i, gdy się ukaże, strzelić. Kto miał strzelbę, Złe zabił; ale kto nie miał — ginął.

W nocy strach było wyrzeć na pustki, boś tam mógł łacnie zobaczyć Śmierci tańczące, a było ich trzy na Podhale. Te, kiedy człowieka pochwyciły, tańcować musiał z niemi. Ujęły go za ręce do koła, tańcować musiał całą noc po krzakach, po jałowcach, kerpce zdarł, portki zdarł, mało żywego pozostawiły na rano. Jak był boso, krwią poznać, gdzie tańczył. A pokrzykiwały w tańcu: — „Cheba! Cheb!” — i śpiewały piosenkę:

„My siostry śmierciki,  
Bez matki zrodzone,  
Dusić naród ludzki  
Przez Boga stworzone.”

Podpatrywali je ludzie zdaleka, dokąd się skręca po tańcu, bo w którą stronę poszły, tam był niedługo umarły.

Na niebie, na chmurach, kołysały się „płanie-

tniki”, a nieraz taki z chmury spadł i między ludzi zeszedł.

Jest to jedno z najciekawszych i najfantastyczniejszych wyobrażeń góralskich. Płanietniki władały gradami i ulewą, i wogóle pogoda była od nich zależna. Klasyczną o tem opowieść, jedną z najpiękniejszych ludowych opowieści, podam tu tak, jak ją w papierach Jędrzeja z Kościelisk czytałem. Ma to tytuł: „Jak zrobił Sobanek z płanietnikiem”.

W Zakopanem ros w same zbiórki owsiane stanena humura corno nad Gładkom i sieli gradem, co cud. Sobanek młł we młynie pod Łazkem u Sobcoków, co hej; jaz mąka pachła daleko od jego młyna na drogę, ku samem Wyzdzielniku. E, bo ta Sobanek był študer! strzelec, muzyka. O hej! Miele, a poziero nad Gładkom. Raty Boskie! Jak tak pudzie dluzej, to zabiere cysto do krzty Walowe Góre i Gładkom, nima śpasów!... Jele niedługo przestało. Ku wieczorowi poceno sie ozwlócyć, ale wiatery był zimny.

Wyżroł. Ka sie wzieno, tam sie wzieno, przed progiem chłopcysko jakiesi nieznajome. Odziote ino w potarganej kamizelce, w gaciskak. Z gołą głowom i boskem. Mokrutkie, jak mys. Ślizgo sie i utyko po krupak, bo i tu gradem dostało. Trzęsie sie i scek zębami od zimna. Dygoce całe skrziwione,

— Zje pojdze weredo do izby, bo umarznies! Zagrzej sie!

Hej, i wleźli.



W izbie było ciepło, na nolepie pod kominem była zagrzebiono w popiele watra. Sobanek łapiął pogrzybacke i ozgrzób wagle olsynowe jarkie; posadził dziada ku nim na nolepe — niegze sie ta grzeje.

— E, czyjżeś nieboże?... E, skądżeś? — pyto sie.

To nic! Ino scek zębami a patrzy do niego. Dygoce i trzęsie sie od zimna.

— Déj sie ty tu ozgodos, ino sie zagrzejes! — myśli se Sobek. — Poseł, nabrał zo pieca drew i nawelél na watre. — No grzėjeze sie teros! A po-te bedziemé godać! Hej.

Chłopcysko sie grzeje, pcho ręce i nogi w piec, ale kamizelka i gacie zamiast sio osusać przy ogniu, to coros barzėje moknie i z kozdego strzępka pusca sie woda. Ogień na nolepie zalało, cysto zgós, bo sie plugastwo coraz barzėje pchało w piec, niby ze sie grzeje... Potocki wody puscajom sie po dy-lak, od pieca ku dź wiérzom... Sobek patrzy:

— Zje kis to djabli!

Łap za łeb i peu s nim w pole, jaz sie pod pud do burtnice ztulało. Tam woda chlusce zimno, to siadło w niej i wyscérzo zęby do Sobka, śmieje sie!...

— Hehel... Tu mi strasnie dobrze — gwarzi. — Je-no byk jod.

— To jeno siedź! — pado Sobek. — Jele sie wy-strzėjej koła, coby cie nie chyarkło...

Ten sie przypatrzył na koło i hip w korcówki, przejehoł na nim do okola. Wyskocył, otrzēpoł

sie z wody, wzion rękóm za ramie w palecnym kole i cały młyn zestawieł.

— Je djabliści w garle! — pomysłoł se Sobek. — Tobie, widze, ani młyn nie zrobi nic! To ino siedź!...

Poseł na brzyzek do domu, odlomiél moskola więkse pół, wzion bryndze kruk, prziniós i doł.

— No jédz — powiada — a siedź, kie tam ci tak dobrze.

Tén wzion, uprzipatrzowoł sie moskolowi i bryn-dzy ze sydzkik stron, sprógowoł: — „Hm, hm, hml... Owsiany popiers...” — Wzion i zjod. A bryndzy to sie nimóg nadziwować: — „Kalpus! Kalpus!...” — Ale dopod i zjod tyz odrazu — i gwarzi:

— Wy ta tego mocie dość, bo jaz — trzi dziéski na izbie, jo ta wiem... Docie mi jesce?... Je dociel dociel Jo wiem. Ale hań za wodom Kunda mo jesce wiécél, jako wyl bo jaz styry dziéski w kó-morze. Je, jo hań niepude, bo ona nie do... To baba złol... Ona hańma rózne ziela i zwónek taki jakisi, co jo sie nieroz cofnąć musioł, kie zacéna na nim zbyrceć i zielami kadzić... Jo hań niepude, ale kieby jej to wto ukrodl... Widzielibyściel taby sie miała spysna; docysta byk jom hań zamuléł..

— Ehe!... Toś to ty, co gradami rzadzis! — pomysłoł se Sobek, ale nie pedzioł nic.

— Pockojze, jo cie tu wyrjektuje pomału, ale te-roz wyrządzoł ci niebede.

Kazdy dzień przinosiél bryndze, słodkiego mlé-ka w gornecku z domu, moskola; pianietnik jod a śmioł sie som sobie.





Siedział u niego całe dwa tyżnia. Jak była pogoda, to całe dni i nocy macieł wodę w burtnicy pod kołem, a jak był dęsc, to siedział cicho i śmiał się... Ino telo Sobkowi zawdy pedzioł naprzód dzień, „ze jutro będzie dęsc!” I był. Niescyganił nigda.

Ku końcu ozbuchał się strasznie. Zacon już i cekanom we młynie wyrządzać i na dziewczki różnie brzydźko wołać, bo on wiedzioł o sydzkim, co taka wtoro miała s kim.

W jedne noc jakisi był taki, jak głupi; popod koła i po całym młynie wydziwioł strasznie i Sobka już cysto omierznon. Bo się go już i cekani boli i dokucioł wsędej.

— Kieście już diabli weznom kany z tela!... — myśli se Sobek. — Już tego dość!... — Ale niegodo nic, ino poziéro noń, co będzie robiel, kie tak głupie...

Ku północy miesiącek pięknie wysel i świeci. Tén przisel do izby, był kawolek świńskiej skóry na kerpce pod oknem na ławie, wzion cicho pod pazuche i poseł w pole. W burtnicy wyrwoł kensi gwoźdź, dratnoł, wzion i poseł ku wodzie, siod na skałę i zacon tom skórom owijać nogi, a syc cosi s niej tém gwoździem.

Sobek doł poziór za nim: wysel pocihutku ze młyna i na racku poza brzéski olsynkami—co tys ta robi?... Wyziero. Tén siedzi na skałę nad wodom, naciaga skóre zębami, to zaś mierzo na nogi, a poziéro wgóre na miesiącek i gwarzi:

— Świeć, miesiącku, świeć! bo se butki syjem... Sobek napatrzel się mu dość! Wzion skałę, kie wymierzo w plecy!

— Jecie diabli wzieni!—tén pado.—Nieświécielbyk, a nie biel sie! Joby se śladno usyl buty i po cmie. Wiés?!...

Sobek poseł cicho nazod do młyna, a ten znowa kieniekie przisel za nim i gwarzi:

— Jo tu już niedługo bede u wos, młynorzu. Pude stąd, bo mie tam już wołajom moji. Jele se dojcie poziór wse. Jak ino uwidzicie, ze pudzie corno hmura od Poromina z doła, to nieśpasujcie! Co thu zastawiojcie młyn i lećcie prędko na joz, odroście wodę do krzty dobrze, bo by wos haw zamulęło.

Jutro w nocy przikurzi śnieg, ale to nic! Bo on jesce zginie i będzie ciepło.

Jutro była pogoda, on cały dzień zabroł się popod koło po wodzie w burtnicy, a jeno, to wyziéroł ku Orawicą i cały dzień jakisi był smutny, ani jeść niekcioł.

Ku wieczorowi zaceno się hmurać od Orawy, uwidzioł, uradował się, wysel z pod koła i przisel do izby weselsy i pojod... W nocy przipiérchnon śnieg na kerpiec. Tén całom noc niespoł nic, ino chodziel po izbie, a śmiał się som do siebie, co cud!... Ku raniu przisła mgła jak ciasto, tén ino zaceno świtać, poseł w pole; wyciągnon ze spary powróła dwa, owinon w nie nogi i poseł presto po śniegu na Walcocki Wiérk.



Rano nima go długo. Sobanek był ciekawy, katus posel?... Obuł sie, wzion i posel za nim za ślaskem het jaz na Walcocki Wierk.

Tén ino wysel na som Wierk, zacon po śniegu chodzić wkoło. Nopiérwój robiel takie małe kółka, a pote coros to większe i większe; na ostatku podziol sie kensi, ślag sie na śniegu skońcel, nie zostały ino powrósla. Gmła była jak ciasto i porwała go do góry.

— No niegze cie juz ros diabli wzienil! — pomysloł se Sobek i posel du domu.

Niedługo wypogodzielo sie i śnieg zginon cysto pięknie, hej, i było ciepło. Usło cosi ze dwa tyżnia, w samo południe zaceno kensi ponad Saflary grzmieć i łyskać sie strasnie... Wiater zacon duć od Poromina i niedługo strasno cyrniawa zacapiela cały tén kant i jedzie a hucy nad Zakopane z grzmiotami i łyskawicami, co cudl...

Sobek widzi, ze nieśpas, ze to ta hmura sama, co mu tén padoł o niej kiesi tu; zastawiel młyn, co thu polecioł na joz i wode odstawił het, wzion i obróciel sie do Kundy na Łazek: bo wto wie — pado — co bedzie? i godo jej o tym. Kunda łapiela co thu śpizowy zwonek świencony i ziele, položyla na wagle ognia na miske, wysła do pola i kadzi, a zbércey na zwonku do trzeciego razu...

Hmura stanéna narosl... I grzmieć i łyskać sie przestało trohe, ino sumi w niej i hucy co raty! Jak kieby sie cały Giewont obracół w niej.

Powicher ros, to zaś drugi ros wiater przicho-

dzi od niej zimny a strasny, co ludzie na świeciel Kunda nic, ino jednom rękóm na krziz zwonkiem zbércey i przezegnuje hmure, a w drugiej tak samo na krziz macho miskom w powietrze, a poduchuje wagle, coby sie jarzyły... Ziele trzescy, poli sie, a dym ś niego wiater niesie prosto w hmary...

Ręce juz Kundzie zacynajom cierpnąć, a hmu-sko nic, ino stoi. Casem powicher przileci od niej taki mocny, co cysto kce ludzi na ziem sprzekopyrtować!... Ale Kunda nic, jeno stoi na swoim placu a zwoni i kadzi. Casem jej powicher spodnice i nodolek na som wierk głowy zaruci!... Ale u Kundy dziś wstyda nima, bo widzi, ze niepeć!

Wystoli tak do śródwiecerz. Dopiero tén s hmary woło:

— Puść miel... Niezartuj!...

— Niepuscel... Ani na coll...

— Puść mie tak, jak bez recicel...

— Niepusce...

— Tak jak bez przetaki.

— Nic!...

— Zlutuj sie, Kunda, puść mie, nieg przeńde, i hoć telo ino jak bez sito puscel...

— Ani na tylec noza niepuscem!... Ani tyćkol... Cofnij sie nazod i idź, skadeś przisel...

— Nimogel! — powiada płanietnik — i jak mie jesce dluzej tak trzimać bedzies, to puknem.

— Idź nad hole i puknij hań, jak cie juz tak gniecie. Ino ludziom nierób despetu zodnego!...



I przestała zbérceć.

Natykmiost hmura sie ruszyła i poseł nad hole i hań zeszło gradami tak, co cud!

Wte oberwoł się Skupniów Upłoz i uwiezło się go pół do Jaworzinki. Wte się utworzyły po halak stawy i jeziora, a po graniak wsędej poobruwała się ziem i porobiły się takie wielgie okopy i przikopy długie. A krupy gradu po całyk holak leżały miejscami do wiesny.

Niebyło śpasów!... Kciały ludzi wody po wsiak dołu pozabiérac; tak z hol dudaly sydzkami zlebami i potokami.

Po wiklinach, po kamieńcach i moczarach nad Dunajcem goniły ludzi w nocy topielce albo też czatowały na nich w głębinie. Ucięte głowy toczyły się po pustkowiach, z długimi włosami, a czasem djabeł przyszedł i naciął drzewo siekierą, aby się każdy potem, kto je zřabac chciał, kaleczył. Robił on to najczęściej w dzień świętego Piotra i Pawła. Ale były i takie czarty, co się ludziom przysługiwały. We wsi Charkłowej wyjechał pewnej nocy z Dunajca pan, po niemiecku ubrany, w powozie, w sześć karych koni zaprzężonym, którymi sam powoził. Jednemu z koni podkowa odpadła — a była cała ze złota — i tę kowal charkłowski przybił. Za to pan darował mu strzelbę, co nigdy niewidziane ptaki i zwierzęta zabijała.

Djabeł, jeżeli się pokazuje, to najczęściej w „pańskim”, „miemieckim odzieniu”. „I tak, z jednej

skąły wyjeżdzał smok, a na nim Miemieć, ale to pewnie nie Miemieć bół, ino djaboł. I bół jeden baca, strasnie tęgi chłop — i telo dośmielił, co smoka zabił. I co się nie zrobiło, Miemieć jeździć przestał, ale skądś z dolin zdalsa prziseł jakisi cłek i u bace się o tego smoka jon dopytował, jeze — pado — mój bół, a tyś go zabił. A to jakisi bół heba carownik, a djaboł se ta ino wypożycył u niego smoka, toz to se na nim przy casie jeździł.”

Modlitwa dużo mogła. Pewnego razu, dawno, wieźli chłopci obraz świętego Antoniego do kościoła w Łopusznej. Święty był blademi farbami namalowany, a osobliwie blade miał usta. Spotykali go różni ludzie, każdy się przeżegnał i poszedł swoją drogą, aż dopiero jeden młody parobek, kiedy obraz zobaczył, staje i powiada: — „Hej! Święty Janton! Kiz ta sto djasków?! Cyś się śmietany opił abo co?”

Natychmiast wóz stanął. Ile koni przyprzegano, ruszyć go z miejsca nie mogły. Ledwie umodlono, że się święty dał powieźć dalej.

Tak samo w tamtej okolicy dziewczęta zakupioną mszą świętą uwolniły duszę parobka pewnego od wiecznej pokuty. Był on bardzo piękny, ale na kobiety zgola nieczuły, i wiele dziewcząt darmo się w nim kochało i wyplakiwało oczy. Raz w niedzielę ujrzał ten parobek łososa na płytkiej wodzie; schylił się, aby go rękami chwycić, ale się przebił nożem juhaskim, co w opasku miał, i umarł. Nóż wrzucono w potok, a jego pochowano, ale



w tem miejscu, gdzie nóż we wodzie leżał, duch zabitego nocami za ludźmi biegał i jęczał. I wybrało się kilka śmiałych dziewcząt pewnej nocy i zapytały ducha, czem mu pomóc.

A on im na to odpowiedział:

Kobietami gardzilek,  
Lo nikogo nie zylek,  
Ka nóż leży na głębinie, wlećnie cierpieć muse,  
Necie rute z kapelusa, wybawcie mi duse...

I dał im rutę z kapelusza na znak, a one mszę kupiły, i więcej się duch jego nie pokazywał.

Był też na górze Centyrz, czyli Cmentarz, pień olbrzymi, z którego nocami wychodził duch w postaci mnicha w białym habicie i kapturze. Kiedy stanął na ziemi, był maleńki jak biały grzyb, ale zaraz rósł i wkrótce stawał się taki wysoki, jak młody smreczek.

Nie pokazywał się często, a kiedy się to miało zdarzyć, albo burza szalała po górach, albo też kwiaty pachniały tak, jakżeby po całym powietrzu rozsiane były. Czasem też wyszedł nie z pnia, ale ze źródła lub z potoku, a kiedy miał niknąć, wchodził w wodę, rozpostarł nad nią habit i malał, malał, aż zginął z oczu. Przechodził koło ludzi, nie mówiąc nigdy do nikogo nic, nic nikomu złego nie robił, a gdy się kto doń odezwał, poruszał głową i ręką. Miała to być pokutująca dusza mnicha, który uciekł z klasztoru i którego zabili zbójnicy w grzechu śmiertelnym.

Raz natrafił na pobożnego człowieka, który na jego widok krzyknął:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja Go chwale — odpowiedziało widziadło, rozwiało się w nic i nie pojawiło się więcej. Tylko drzewa zaszumiały tak, jakby po nich skrzydło orle śmigło. Ale co osobliwe, że tego miejsca, gdzie się ów człowiek pobożny spotkał z tym mnichem, nigdy już odnaleźć nie mógł, tak, jakby się podziało gdzieś z lasu.

Głowy, toczące się bez kadłubów po polach albo jakieś potworne dzieci o olbrzymich głowach widywali ludzie często. W Łopusznej straszyla taka głowa gdzieś niedaleko Dunajca, miała włosy długie i oczy otwarte; toczyła się i zapadała pod ziemię. Goszczyńskiemu opowiadano, że na polanie w Jaworzynie Kamienieckiej pokazuje się głowa zbójnika, którego tam zabił herszt przez zazdrość, że był mocniejszy i zręczniejszy niż on. Uciał on mu głowę i rzucił we wawóz, ale głowa wyszła i na polanie „siedzi”. — „Ile razy ją znajda, odniosą w dalsze miejsca — powtarza Goszczyński — i zrzucą w przepaść, tyle razy ona znowu powraca na swoją polanę.”

W Ludzimierzu w gajach nad Dunajcem pokazywał się ksiądz-topielec i gonił ludzi. Gaje te nazywały się księżę, ale nie pamiętam już, czy należały do plebanji, czy też może od tego księdza-topielca dostały nazwisko.

Weże miały króla swego. Ten był ogromnej



wielkości, tak, że sporą turnię mógł opasać, wszystkiemu mu się barwami świeciły łuski, a na głowie miał złoty grzebień — koronę. Niebardzo tam kto węża tego zaczepiać śmiały był, bo to był potwór straszny, choć piękny, ale gdyby się kto na niego porwał, a wąż gwizdnął, to się z całych Tatr, ze wszystkich lasów, wąwozów, rozpadlin węże zlatywały. Czołgały się, aż się mrowiło, a tak szybko, jak strzały ponad ziemią puszczane. I z sykiem otaczały swojego króla, wystawiając żądła jadowite.

Nieraz ludzie w upalne południe widywali króla węży, jak się grzał do słońca. Mienił się wtedy cały, że powiedziałbyś, tęcza na skale legła.

Jest prastara legenda o tym królu węży, który panował nad bezludnymi puszciami podtatrzańskimi i nigdy człowiek na oczy mu nasunąć się nie śmiał. Aż pewnego dnia parobek pewien tyle dośmielił, że się z za wierchów Beskidu wychylił ku Tatrom i król węży go zobaczył. Zaraz tej nocy zerwał się straszny wichur od hał, a na drugi dzień poczerwieniało całe niebo, i wpadli do wsi podgórskich rycerze w czarnych zbrojach, sami śpiący i na śpiących koniach, zagrabili moc dobytku i porwali kilka najpiękniejszych dziewczyn dla tatrzańskich smoków, a powiedzieli, że posłał ich król węży. I tak co roku wpadali, że ludność wytrzymać nie mogła i uciekać zupełnie z tamtych miejsc myślała. Dopiero znalazł się jeden parobek, zwany Perłowic, bo matka jego, bezpłodną będąc,

od wędrownego dziada perłę do połknięcia dostała i z tej perły on się urodził, i ten zaślubował sobie króla węży zabić i wsie od śpiących rycerzy uwolnić. Kiedy się jednego dnia nad Dunajcem modlił, lilja przed nim wyrosła i powiedziała mu, że na siodełku w Pieninach broń znajdzie. Znalazł on tam osikową maczużkę, ale jej podnieść z ziemi nie mógł. Lata całe dźwigał ciężary, że już grube smreki sam nosił, a tej maczużki podjąć nie potrafił. Wziął się więc znowu do modlitwy i znowu wykwitła przed nim lilja i powiedziała mu: — „Jak się ożenisz ze mną, to paliczkę dźwigniesz.” — Więc się jej zaślubował i że nigdy żadnej dziewczyny nie dotknie.

Poszedł na Siodełko, a maczużka dała się podnieść jak pióro. Zaraz się tedy zabrał i w Tatry poszedł.

Tu jest śliczna myśl: jak tylko, idąc przez puszcze, dał się ogarniać trwodze, smutkowi i żalowi, zaraz osika zaczynała ciążyć.

Przeszedł las i pustacie i natrafił na chałupę na polanie. A w chałupie była baba niemłoda, zbiedzona bardzo.

— Wtoż hań? — pyta się, kiedy Perłowic zapukał do okna.

— Jo.

— Co kces?

— Wędrowny.

— Skąd?

— Ze Iscownic.



— Uciekoj pokieleś żywy, bo jak się tyn hań obudzi, co w komorze śpi, to po tobie.

— E, ja ta uciekał niebedem, kiek tele dole prziseł. A wtoz to hań taki strasny?

Ale nim kobieta odpowiedziała, pokazał się w progu komory chłop okrutnej tęgości, ze zielonemi oczami. Tak samo się Perłowica spytał, skąd idzie, a potem poco. Perłowic mu powiedział, że króla węzów zabić i rycerzy wyścigać. A chłop na to:—„Ej wiera! Naprzódzi sie musis se mnom sprógować, bo jo haw za strożnika, a jak mnie nie zmozes, to cie nie puscem dalej”.

Przystał Perłowic, a chłop dał mu pojeść godnie sperki, grochu, sera, placków i wódką go częstował, ale Perłowic pić nie chciał; potem mu powiedział, że się nazywa Wołosyn.

Kiedy się oba najedli, powiada chłop:

— No to podźné sie bić. A scymze ty pudzies?

— Zeć z tom osikowom palickom. A wy?

— E, o to sie wej nie turbuj. Uwidzis.

Wyszli do pola, a gazda poleciał ku wielkiej wancie, przyłożył nią sobie poły od czuchy — odbiegł, a czucha się wyciągnęła w smoczy ogór. Potem palce w gębę wraził, szarpnął — i wyrósł mu pysk i kły. Trzasnął palcami, a z palców pazury wyleciały; nakoniec poskoczył i zamienił się cały w smoka w żelaznej łusce, z ogniem w paszczy. Ale Perłowic się nie zląkł i smoka zabił, a kobieta uciekła, bo była u niego w niewoli. Gdzie

smok padł, tam wyrosła góra Wołoszyn i do dziś się tak nazywa; działo się to koło Rostoki.

Potem poszedł i trafił na jezioro, a w tem jeziorze pełno ryb; nazwał je Rybie i tak to do dziś zostało.

Stamtąd drapał się do góry, i zastąpiła mu drogę potwora, podobna do mnicha. Tę zabił i skamieniała potem na Mnicha. Natrafił wkońcu na króla węzów. Długo się bili, ale go wkońcu Perłowic pobił i wąż pod ziemię uciekł. Rycerzy śpiących wprowadzie nie doszedł, bo wąż skałę ogonem na to miejsce, gdzie był wchód do nich, zawalił, ale już potem nie wypadali na doliny i ludziom nie szkodzili. Perłowic zaś sam z lilją się ożenił i do klasztoru wstąpił, gdzie pobożnie umarł. \*)

O rycerzach śpiących, czyli zaśpionych, mówiąc po góralsku, w Tatrach, mamy dwa pojęcia: jedno, że trapili oni z rozkazu króla węzów ludność podgórska, drugie — ogólnie dziś i jedynie znane, że wstaną oni kiedyś ze snu, będzie wielka wojna, która się skończy na żelaznym mostku w Kuźnicach (dziś go już niema), i wtedy nastanie „powszechna sprawiedliwość na świecie”.

Był jakiś Fakla Józkuloncorz od Picków, kowal (rodzina Faklów do dziś istnieje w Kościeliskach), „dziuże razony”, czyli sparaliżowany, który miał historję opowiadać o rycerzach śpiących pod Pi-

\*) Długim wstępem opatrzoną tę legendę spisał przed laty s. p. Kazimierz Łapczyński.



sana w Kościeliskach, tem dziwniejszą, że sam w tej historii rolę odgrywał. Spisał ją podług opowiadania Sabały pan Andrzej Stopka Nazimek ze Zakopanego dokładniej, niż ja to sam z opowiadań innych chłopów mogłem uczynić, a że historia jest jedyna w swoim rodzaju, według więc pana Stopki ją przytaczam.

„W Staryk Kościeliskak, ka sie skręca na halom Smytniom, jest turnia wysoka, a nazywa sie Pisana — haj.

Drzewień jom inaczej nazywali, ale dzisiak jom panowie przekrzčili, bo sie tam na tej turni pisa-jom — haj.

Różne ta o niej ludzie gadki gwarzom, ze tam wnuku w tej skale jest staw, co s niego Dunajec idzie, a na tym stawie pływa złoto kacka, co dyamentowe jojka niesie, ale ino jedno na rok — ha.

Roz, co sie nie robi, zabrał sie ta juhas po ten kacke, ale nie doseł, bo ta woda strasznie zimno, a żleb, co nim woda idzie, ciasny, ize o malučko sie nie utopił — haj.

Boginki stawu strzegom, tozto nikogo tam puścić nie kcom, ba go bałamucom, coby sie s nimi bawił — haj.

Mnie zaś pedział stary Fakla, co był dziuge porazony, takom gware, ze w tej turni ma być wojsko zaśpione — haj.

Było zaś — prosem pięknie wasyk miłości — tak.

Raz przyhodem do tego Fakli, a tu stary lewdo zwywy lezy na pościeli. Ja se siednon na po-

ścieli przy nim i pytom sie go, coby mu brakować miało. A on mi tak pado:

— Mięły, mocny Bozel hłopce, se mnom źle, Bóg mie pokarał, i jako widzisz, lezem tu juz Łazorz moc roków. Dziecko, tyś młodszy, do światuś, a jo dziś, a jutro.

Słuhaj mie, to ci powiem moje zywoybie. I jo był kiejsi tegi hłop, do rzeczy, a miałek kuźniom i kulek, co komu było trza. Kowol był ze mnie setny, toz to robotyk miał wse mocki — haj.

Roz, co sie nie robi, kujem ku wiecorkowi, a tu włazi do kuźnie jakisi cłek.

Ładnie, pięknie pozdrowił Pana Boga, toz tok mu odpedził i zgłupiołek, bo sie na niego przypatrzył i jescek w zyciu takiego cłeka nie widział. Niby wojak, bo zbrój na nim, brzoda popas, a głowa ze stali, a gęba tako ładna, jak u janiola w niebie.

I dobrze nie bar-zo, pyto sie mie, cybyk mu podków złotyk nie narobił?

Jo padom:

— Cemusby nie, dyćjek od tego kowol.

I dobrze nie bar-zo, zacyni my ten robote. Jo kujem, on miehe ruso i robota sła.

Narobielimé podków i klinicy mnohenko, toz to mój wojak pado, coby zabrać to syćko w torbe i iść s nim.

Dyć padam mu, cemusby nie, dyćjes cłek i nie źle ci z ocy patrzy. Kie iść, to iść. Myśliwskie prawo krótkie.



Zabrał sie. Idziemé. On na przodku, ja zaś z podkowami na zadku. I tak idziemé przez Kiéry do Kościelisk.

Zahodzimé ku Pisaněj, a on sie do mnie obra- co i tak pado:

— Nie bójze sie, a cicho sie sprawuj, a strzez cie Boze nakłońć, kie tam weńdziemé.

Wlazimy w jakiesi źleby i dziury, a turnie to jakby sie ozestempowały przed nami. Idziemé, idzie- mé i zaślimy do nuka.

Patrzem, a tu telo luda, a syćko lezy, głowy na siodłak, a syćkie brzody som jest dluzażne po pas — haj.

Jo sie pytom pocihutku, co to za jedni, a wo- jok pado, ze to wojsko polskie takie zaśpione i ze jak przyńdzie cas, to sie przebudzi, wstanie i pu- dzie sie bić za wiare, a ze wojna sie pocnie kajsi precki, a skońcy sie na zelaznym mostku w Kuź- nicak.

Zacynimy konie kuć. Jo wbijoł kłińce i pod- kowyyk do kopytów zdajał, a on nogi trzymał. A kiek juz syćko, ka co brakowało, ponaprawioł, nabrał wojok struzyn z kopyt i wsuł mi w torbe i tak pado:

— Mas tu płacom!

Pomyślał se, kpi se mnie, ale mu sie sprzy- cał nie bedzies, hoć mi strasnie markotno było, bok cały dzień minon.

Wzionek torbe i wyhodzący wysułek te stru- zyny, ale kiek wyseł na pole, patrzem w torbe,

a tu nima struzyn, bok nie syćkie wysuł, bo mi sie po torbie obrały, ino som jest dukaty. Było ig kielka.

Kiebyk był syćkik struzyn nie wysypał, byłbyk sie zratował dość godnie, alejek musiał być nie godny.

Pomyślał se:

— Dziadowi nie daj konia, ba torbe i kij—i po- sełek.

Zahodzem do hałupy, a baba mnie ze zębami przijena:

— Kaś ty był tele casy, co cie trzi dni w do- ma nie było? — haj.

Nie wiedzialek, kie tén cas tak wartko przele- cioł, bo sie mi to ino kwilka widziało, ale se my- ślem: „Nie bedem sie z głupiom babom dogadował, bo to u nik włosy długie, ale rozum strasnie krót- ki—haj”.

I kulek pote dalej to siekiéry, to co sie kany trefiło, jaz tu znova po kielku rokak prziseł mój wojok i znoujek mu robiel podkowy, a jak juzek dość narobiel, to my posli tam ka i pryndzėj. My- ślem se: „Nie bedem jo juz taki głupi. Nie bedem struzyn praskał.”

Kujemy. Jo sie ucion w palec — haj — toz tok naklon głośno, a tu co sie nie robi, wstajom ci na- około mnie. Mnie strak obujon. Jeden sie pyto: „Bracie! cy już cas?”

Ale mój wojok mu tak pado: „Nie jesce, spij dalej!”



Na mnie sie ostro popatrzał i pogroził mi palcem.

Jak my kuć skończyli, to mi znova wsuł przygarznie struzyn do torby — haj.

Idem. Kiek wyseł, patrzem w torbe, kielo bedem dudków miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Jo sie ozpajédziéł, bo mi casu było zol, alek se pote pedział: „Zej jo tu bez to dziade nie bedem”. Wysulek trzaski i poseł. Na Kiérak wskocylek — haj — teleżego do Zyda. Wypilek, a kie sie ozór pomaści, to i lekcej hodzi.

I tak wypapłolek syćko Zydowni, Zyd ozgadał po świecie, cok mu napediał — haj.

I teraz co sie nie robi, roki lecom i lecom, a konie niekute, bo ta teroz bodaś kogo nie puscom, bo musi być taki parobek, co ku dziewczkom nie chodzi — haj. Jo za kare sie zaroz oznimóg i lezem tak moc roków. Z Panem Bogem nie bedzies w karty grał — haj.”

Tak to — prosem pięknie — gadał mi ten Fakla, a świércki to mu ciurecke z ocy leciały — haj.”

Słyszysie jeszcze od czasu do czasu fantastyczne historie o nadprzyrodzonych siłach. Jedną z najpopularniejszych jest opowieść o tym dziadku, który na halę Miętusią przyszedł, a gdy go tam juhasi z bacą źle przyjęli, psami poszczuli i jeść mu nie dali, zawałiła się na nich potem cała ubocz skali — sta i wszyscy zginęli pod skałami czyli pod wantami, a dziś to miejsce *wantulami* się nazywa. Ten

dziad miał to być sam Pan Jezus, który ludzi próbować poszedł.

Pod Pisana, w turni, skąd woda wypływa, ma być staw, a na nim kaczka, co złote jaja niesie, ale tylko jedno jajko raz na rok. Próbowali się tam ludzie dostać, ale „nie zdołał niwto”.

Górska fantazja lotna była dotwarzać opowieść do fantastycznych kształtów skał, jakoby wytłumaczenie. Owe mnichy, sowy, chłopki kamienne, wszystko to skamieniało z istot żyjących. Dziś już „dziwtóry ledwie se przibacy”, jako to było, jak np., o tym chłopcu, skamieniałym na Łysankach nad Bramką, co wioził proch dla zaśpionych rycerzy pod Pisana, a gdy go nieprzyjaciele napadli, modlił się, aby Pan Jezus zamienił proch w kamień i tak się stało, ale i on sam przytem w kamień przerósł.

W Żabim, nad Morskim Okiem (tak samo, jak i w Czerwonym Wierchu i w wielu innych jeszcze miejscowościach), jest kościół. Jeden juhaz z Muru, co pod Żabim pasał, usłyszał, że wewnątrz skały dzwony biją, wlaźł do jamy i zobaczył ogromny kościół i księdza przy ołtarzu, a na organach grał organista. Strasznie się przeląkł i „przekopyrtnon sie na ziemi” — i obudził się dopiero w rok później. Nie chciał wierzyć, że rok przespał.

Bliższych szczegółów o urokach i zapobieganiu przeciw nim trudno się już dziś dopytać; powtarzają się powszechnie znane historie „o złych oczach”, czarowaniu mleka etc. Że Górale byli



dawniej niezmiernie zabobonni i przesadni, to nie ulega żadnej wątpliwości, a owe ozdoby z kostek, szkiełek, paciorków i kamyków, które nosili na kapeluszach, we włosach powplatane i na szyjach, jako wianki, owe „gombicki” i „brymbulce” były nietylko ozdobą, ale miały rozmaite przymioty i znaczenie. Były to niewątpliwie amulety, podobnie, jak i spinka mosiężna na piersiach, noszona do niedawnych czasów przez wszystkich chłopów bez wyjątku, a która, jak trafnie dowiódł dr. Eljasz Radzikowski, jest prastarem wyobrażeniem jakiegoś bożka, idolem. Do niedawnych czasów wiara chrześcijańska była u Podhalańców czysto powierzchowną naleciałością, w gruncie rzeczy mieli oni wierzenia pogańskie. I to jest niesłychana, niepowetowana szkoda, że wierzenia te starły się i zatraciły, zatraciła się bowiem wraz z nimi i starła jedyna w swoim rodzaju poezja. Taki prosty przykład: jadę zimą sankami przez Kośny Hamer nad Poroninem, a stary chłop przede mną wiezie nacięte w lesie brzeziny. Chce się uchylić na wąskiej drodze, żeby go można minąć, ale brzeziny, sterczące za włókami, to tu, to tam się przesuwają na ślizgiej drodze. „One ta majom wse swojego boga”—mówi na to stary chłop. Znaczy to, że się kręcą niezależnie od kierunku włók, na których jadą, ale wspomniały ten frazes urodzić się tylko dlatego mógł, że niegdyś wszystko miało „swojego boga” i że cała natura nie była martwą, osierociałą, pustą i głuchą jak dziś, ale pełną nadprzyrodzonego duchowego

życia, pełną bóstw pokrewnych i bliskich ludziom, które w niej szumiały jak w lesie wiatr.

Krotki ten szkic wobec prac wielkich rozmiarów, które literatura tatrzańska wydała, ma znaczenie czysto popularne.

Zakopane 1905 r.



### JANOSIK W LEGENDZIE

Epopeja o Janosiku jest tylko kwestją czasu. Słowianie kochają się w opowiadaniach, i zarówno Tatry, jak Janosik, opowieść o sobie prędzej, czy później mieć muszą.

Tatry epopeję swoją mieć muszą i muszą ją zrodzić, epopeja potrzebuje bohatera, a ten bohater już jest: Janosik rodem z Tarchowej z Hornotrencianska, powieszony „za pośrednie zbrodnie” na haku w stolicy komitatu liptowskiego w Liptowskim Świętym Mikołaju (po góralsku Mikułasz, po węgiersku Lipto-Szent-Miklos) 13 marca 1713 roku.

Z tego więc względu, że postać ta, jeśli nie specjalnie w literaturze polskiej, to w tak bliskiej językiem i pobratymczej słowackiej, wyrość ma na bohatera może naprawdę wielkiego poematu, że może jesteśmy świadkami rzeczy dziwnej, której powstawanie przywykliśmy tylko w bajecznej przeszłości we wyobraźni sobie przedstawiać, to jest tworzenia się spólcześnie nam bohaterskiej epickiej legendy—zdało mi się godnem to, co udało mi

się o Janosiku dowiedzieć, w niniejszem miejscu podać.

Jaki Janosik, ów najstłynniejszy zbójnik podtatrzański, ów „hetman zbójecki”, istotnie był, tego dokładnie nie wiemy. Urodził on się i na Liptowie, i na Spiżu, i po polskiej stronie Tatr nawet, stał się bowiem własnością całej podtatrzańskiej góralszczyzny. To powszechnie mu przyznają, że „możnych łupił, a ubogim dawał”, „sukno mierzał od buka do buka” (to jest darowywał postawy sukna, ile między jednym bukiem a drugim mierzyło, a buki za jego czasów były olbrzymie, więc rzadko rosły), że „woły biednym kupował wieśniakom” i że „nikogo nigdy nie zabił”, z czem zresztą w legendzie polskich Górali, dzikszych i okrutniejszych, niż słowaccy, rzecz się ma inaczej. Tu Janosik jest nawet okrutnikiem, który oczy wylupuje murarzowi, aby nie trafił do pieniędzy, które mu Janosik zamurować kazał. Być bardzo jednak może, że polscy Górale rozmaite niecne sprawy swoich rodzimych drapichróstów o rysiej i żbicznej naturze do podania o Janosiku przymieszali.

Legendy słowackie, znam ich dwie, zgoła różnią się od polskiej. Oto, co opowiadają Słowacy:

„Kralowa Hola (w paśmie Niżnich Tatr, Liptowskich), nad szerokimi lasami, nad jasną doliną, wysoka to góra, pamiętna góra, wielki grzbiet jej bez lasu, oko zeń patrzy daleko. A pod słońce i wiatr, pod pioruny i deszcz, stoi na jej grzbiecie kamienisty stół, orosły mchami stół z kamienia.



Tam siadywał ze swymi gości i dworzanami, kiedy na łowy szedł, władca ziemi węgierskiej, wesoły król Matej (Matyas Korwin).

Król w łowieckiej guńce, ze złotym rogiem, panowie magnaci w złotem szytych dołmanach, w czapkach baranich, perłami zdobionych, z oszczepami w rękach, a toporami przy boku; kołem stali strzelcy królewscy i pańscy, kołem leżały psy, wilkodławy, dzikowce, niedźwiedziarze. Słudzy a ludzie z doliny znosili jada i napoje, i król pożywał ze swych gości, a zdala, w dolinie, świeciły im zamki, kościoły i dziedziny szerokie cudnej słowiańskiej ziemi.

Kiedy się wszyscy najedli i napili do sytości, zaś wstał król i zadał w róg i dalej na łów szli, na niedźwiedzie, o łapach na dwie piędy szerokich, na dziki, o kłach jak krótki miecz, na wilki i wielkorogie jelenie.

Tak bywało za króla Mateja.

Ale po jego śmierci umilkła Kralowa Hola, a kamienny stół, orosły mchami, pusty stał długo. I na dolinach zmieniło się wiele: w zamkach panoszyła się buta, złość, chciwość i swawola pańska, w wiejskich chatach zagnieździły się płacz i narzekanie, nędza i niewola uciemiężanych chłopów. Zawisły nad słowacką ziemią pańszczyzna, łapaczki, jak mór.

„Zle bolo, že niemohlo byt' horsie” — mówią o tych czasach.

Przed uciskiem i porywaniem do służby i do

wojska młodzież uciekała w góry, w las. Tam powstawali „hörn chlapi” (nasi góralscy „horni chłopcy”).

W ten smutny czas bywało znów gwarno i żywo na Kralowej Holi, a wokoło kamiennego stołu zasiadała drużyna ze swoim wodzem. Ale nie był to król, tylko był to „horny chłopiec”, Janosik z Tarchowej z Hornotrencianska, a z nim nie magnaci, „velkomožni” pani, ale „kamaráti”, (po góralsku „towarzisia”), jedenastu „dobrych chłopców” w baranich oplatanych szkiełkami i blaszkami czapkach, w zielonych koszulach, w cyfrowanych portkach i wyszywanych kabatach, a każdy miał strzelbę przez plecy albo dwie, ciupagę w garści, po dwa pistolety i po dwa noże za szerokim pasem, a zwali się Surovec, Adamczyk, Hrajnoba, Potuczyk, Uhorczyk, Tarko. Mucha, Duryca, Michalczyk i muzykant Ilczyk.

(Legenda góralska daje Janosikowi towarzyszy dwunastu, między nimi „szlachcica polskiego”, Baczynskiego.)

To byli towarzysze Janosikowi, z którymi chodził on „po zbóju” mścić się za krzywdy swego rodzzonego ludu.

A mścił się i za siebie. Wycierpiał ojciec jego i on sam od „pana” niemało.

Legenda w streszczeniu tak mówi:

Janosik urodził się z ubogich rodziców, wieśniaków w Tarchowej. Ojciec jego przeniósł się na Liptów, a nie mając swego gruntu, zdany był na



łaskę i niełaskę swojego ziemskiego pana i ze swoją żoną poccił się od roboty krwawym potem od rana do nocy.

Kiedy się urodził i odchowwał Janosik, ojciec, widząc, że ma zdolności, ubłagał pana, aby pozwolił go dać do szkół, gdzieby się mógł uczyć na księdza, co jedynie było przystępnem synowi i nie-szlacheckiego pochodzenia. Po wielkich prośbach przyzwolił pan, i posłano Janosika do Kiezmarku (inne podanie mówi—do Nitry, polskie—do Podoleńca na Śpiżu) na naukę.

I uczył się Janosik po łacinie, i wszystkiego, ojciec na niego nakładał, sam od ust sobie odejmując, ale pan, w miarę, jak się syn poddanego jego do niezależnego stanu podnosił, począł się wściekać o to, a przeszkodzić już nie mógł. Tem więcej więc zaczął prześladować Janosikowego ojca. Raz w raz przychodził hajduk i wołał:—*Na pańskie!*—tak, że ani na dzierzawionym kawałeczku pola zasiać, ani zebrać czasu nie było, siano się zaparzało, owies gnił. Znosił to ojciec Janosika, myśląc o synu: „Ten że bude pánom...”

Wtem dano Janosikowi znać—miał wtedy dwadzieścia jeden lat—że matka bardzo chora, aby przybywał. Wybrał on się zaraz w drogę i zastał matkę konającą. Ledwo chwilę pobawił w domu, już wszedł hajduk dworski, wołając:—*Na pańskie!*—Janosik nie dał ojcu iść. Narazie hajduk sfołgował, widząc konającą, ale później wrócił posłany z ludźmi, i Janosika, i ojca jego spętali, na zamek za-

wlekli i strasznie zbili. Pod tą chłostą ojciec umarł, a Janosika ledwo żywego na gnojnym wozie wraz z trupem ojca do domu odwieziono. Matka żyła jeszcze, ale na widok martwego męża i skatowanego syna umarła.

Teraz Janosik, przyszedłszy do siebie, postanowił już nie wracać do Kiezmarku czy Nitry; poszedł w góry.

Tułał się po szalasach i pustkach i trafił na bandę zbójczą, której hersztem był Uhorczyk. Ten, wyzwawszy Janosika „za pasy”, pokonany przezeń, dowództwa mu ustąpił, i teraz zaczął się okres Janosikowej sławy i chwały. Ani najliczniejsze drużyny, ani zamki, ani wojsko, nic nie mogło oprzeć się Janosikowej sile, odwadze i zręczności.

„Odkazywał” on wprost do panów, że przyjdzie z wizytą, przychodził i brał, co chciał. Napadał na drogach i zatrzymywał okrzykiem:

„Tu, panie, za chłopskie nagniotki!”

Łupy między towarzyszków dzielił, część zakopywał, część między ubogich rozdawał.

Wielu panów węgierskich polepszyło dolę swoich poddanych nie z miłosierdzia i dobrego serca, ale ze strachu przed Janosikiem. Jakże mu się było oprzeć, kiedy potrafił kamień wielki sznurem obwiązać, we wysokie okno na piętrze cisnąć i potem po tym sznurze wraz z towarzyszami się wy-spinać?...

Legenda opowiada, jak Janosik kochał się w muzyce i w popisach zręczności swoich towarzyszy.



Na obrazkach też zbójceckich, na szkle malowanych, stoi Janosik z czarką w ręku w czerwonym złotem szytym kostjumie, jeden ze zbójników gra na kobzie, a jeden wyskakuje tak wysoko, iż ciupagać na wierzchołek jodle na prawo, a z pistoletu odstrzela na lewo.

Ciekawy szczegół słowackiej legendy jest następujący: kto tylko mógł z towarzyszków Janosikowych, łapał wędrownych studentów, zwłaszcza kleryków, co przy ówczesnym stanie komunikacji nierzadko! zdarzyć się mogło. Wiedli takiego uchwyconego wędrowca do obozu Janosikowego, najczęściej na ową Kralową Holę, i tam Janosik rozmawiał z nim po łacinie, i jeżeli widział, że to „kleryk i niegłupi”, kazał mu mieć kazanie dla bandy. I tak, jak legenda mówi, wśród płomieni watry i wyjących wilków, kleryk, wstąpiwszy na skałę, rad nierad, drżąc ze strachu, musiał kazać o chrześcijańskich cnotach, przyszłym żywocie, wiecznej odpłacie. „Niekdy sa chlapani pri takej pobožnosti až poplakali w hlbokom pohnuti”.

Potem Janosik gościł studenta do rana, a na odchodnem nasypał kapelusz dukatów, albo kazał namierzać sukna na ubranie „od buka do buka” swoim zwyczajem.

Dosyć długo tak Janosik wędrował górami, a śmierć podług jednego podania nastąpiła wskutek zdrady towarzysza Ilczyka, który go za pieniądze wydał, podług innego wskutek zdrady kochanki, mszczącej się za to, że Janosik zaproszo-

ny na zabawę, z córką gospodarza w Liptowie tańczył i zalecał się do niej.

Janosika powieszono za żebro na haku, a kiedy, jak podanie mówi, przyszło ulaskawienie z Wiednia, nie dał on się już zdjąć z szubienicy, mówiąc: „Ked'ste ma upekli, teda ma už i zjedzte!”

Tak brzmi w krótkości legenda słowacka, wogóle mało zajmująca i w wielu wersjach rozkliwiana, sentymentalizowana i zbyt widocznie stosowana do tendencji politycznych Słowaków, jak np., w drugim opowiadaniu pisarza słowackiego, Hamora.

Nierównie barwniej, żywiej i w swoim rodzaju artystyczniej wygląda ona po polskiej stronie, gdzie znam ją w dwóch warjantach. (Legendę tę prawie w każdej wsi zresztą opowiadają z odmianami, prawie wszędzie dając Janosikowi inne miejsce urodzenia).

„Béi roz student Janosik, rode ze Spiza, cy skąd-si, i seł ze skoly du domu, na wakacyje. Seł bez wielgi las i zamiérknon. Drogi dobrze nie wiedział, poblondziél. Łazi, łazi, jaze wyloz na drzewo i patrzy, ka ta kraj lasu? A béla hałupina w tyj ta stronie. Co nie robi, cisnon copke na ziemie, co-by wiedział, we wtorom strone iść, jak ślezie z drzewa. Sloz. Idzie, idzie i zasel do tyj hałupki. Patrzy okne, bo sie hań świciéło: babsko hań sié-dzi stare i straśnie brzydźkie, ale nie béło. co robić, wloz. Pyto sie go baba: Co fces? Pocos haw przisel?”

— Fciałbyk zanocować—pado student.



— Jakoz jo tobie nocowała bede? Przidzie moja starso siostra, to cie zabije.

— Niek ta bedzie, jako fce—pado student—nie ide nika stela.

— No to, kiés taki śmiały, to siedź.

Powiecerzał ś niom, sowała go za piec, lóg i spi.

E, nie uspał ta tęgò. Przileciała ta starso siostra, mało przisiadła na ławie, pado:

— Cyja haw dusa śmierdzi?

— Wychodź, Janosik!

I musiał wyjść.

Musiał wyjść za pieca; zaś go i ta na wiecerze pozwała i wiecerzał ś niom. Kie powiecerzali, pado mu ta drugo siostra:—„Bier sie w pole, bo kie przidzie nastarso siostra, to cie zabije.

— Jako fce. Nie idem nika tustela.

Wloz za piec pod koryto zaś znova.

Za kwilke przileciała ta nastarso.

— Cyja haw dusa śmierdzi?

— Wydź, Janosik!

I musiał wyjść.

Trzeci roz ś niom wiecerzał; lóg i spi, w rzeczy udawał, ze spi, a słuchał, co bedom radzić.

Jedna radzi:

— Położmy mu wagle jarzące na pępku, cy wyrzynie? Jak sie nie obudzi, to bedzie hłop, jak sie patrzy.

No i dobrze nie bardzo, nasuły mu jarzącyk

wagli na pępek: ale on nic, ani nie pisnon. Tak wtodej radzom ty baby:

— Hłop! Trza mu dać mundur.

Jedna pado:

— Jo mu dom wałaske, co ośmioro drzwi sama przerąbie, a kie sie na nij zniesie, trzi mile przeskoczy.

Druga pado:

— Jo mu dam kosule!

Trzecio:

— Jo opasek.

A w tej kosuli i w tém opasku strasno bęła sięła.

Wałaska i opasek bęły gotowe, a ta, co kosule miała dać, na wiecór konopie siała, a na rano kosula bóła. Bo to bóły carnoksiężnice.

I padajom mu rano tak:

— Janosik, nie bedzies jus nijakim księdze, ani cosi kajsi, ino mos ostać zbójnike. Naści ciupage, i kosule, i opasek.

I pedziały mu; co wtore worce.

I co mu nie nakazały: ojca zazbójować. A kie tego dokona, miał być nad syćkik zbójników pięrsy.

Wzion Janosik ten zbroje, sował, a we swojém studenckim odzieniu du domu poseł. Przindzie, siod na ławe, a ociec sie prawie na jarmark wybiéroł.

— Po co idziecie, tatusiu?—pyto sie Janosik.

— Na woły.



— Nie icie, bo wom zbójnicy zastompiom w le-  
sie i piniondze wom weznom.

— Ej — pado ojciec — musiałbyk sie na takom  
ciarapare podać, jako ty, coby jo piniondze zboj-  
nikom dał!

— Bedziemy widzieli — pado Janosik.

I ojciec poseł na jarmark.

Tak Janosik hip z ławy, odział sie do kosule,  
zapion pas, siód na wałaske i leci za ojce. Dole-  
ciał go hnet, zastompił mu w lesie, cupnon wałas-  
kom o ziem, jaze zazberkła, i pyto sie:

— Ka idzies?

— Na woły — pado ociec, a łydki mu tańcujom  
od strachu.

— Bogu duse, a mnie piniondzet!

Ociec wzion i dał.

— Syćkie?

— Ani tys na droge du domu nie bedem miał.

Dał mu Janosik reński na droge i poleciał na  
ciupadze do hałupy. On za godzine hań bół, a ociec  
lewdo w drugi dzień.

Sował Janosik mundur i nic. Siedzi na ławie.

E, przidzie ociec z płace w drugi dzień. — Prow-  
deś mi powiedział, synku — joicy — oj, prawde!

— Co sie wom, tatusiu, stało?

— Ej stało sie mi, bo mi zbójnik piniondze wzion.  
Lewdo zek go o papiérek upytał na droge.

— A poznalibyście go?

— O poznałbyk! Kosule miał strasnom i pas  
i ciupage wieldzażnom.

Ubrał sie Janosik w mundur, wloz na pośrodek  
izby i pyto sie:

— Nie tén to bół?

— O tén, tén!

Tak wrócił ojcu piniondze i pado:

— Jus nie bedem księdze, lemze zbójnike,  
Bądźcie zdrowi.

I zniós sie na ciupadze. Jus go ociec więcył  
za swojego zycia nie widział."

Inny warjant brzmi tak:

Janosik urodził się „w Polskiej”, pomiędzy Suchą  
Górą a Witowem, na Krowiarkach przy Orawskiej  
granicy. Ojciec jego bywał bacą w Jarzabczej nad  
Chochołowską Doliną i w Starej Robocie. Kiedy już  
Janosik podrósł, wziął go ojciec na hale na honielnikã  
(poganiacza) jagnięta paść. Pasie raz na uplaziu od  
Luptowskiej Raczkowej w Starorobociańskim szczy-  
cie i zasnął, a tymczasem wyszedł niedźwiedź  
z lasu i jagnięta pobił.

Obudził się Janosik, patrzy, jagnięta pobite i na  
kupe ściskane, jak to niedźwiedź robi. I uciekł ze  
strachu, bo się ojca bał.

Szedł graniami, aż się na Pysznej spotkał z dwo-  
ma mnichami z Węgier, co jagnięta po szalasach  
zbierali. Pytają się go, czego płacze.

— E tak i tak — pado Janosik. — Niedźwiedź mi  
wej jagnienta wybił, nie pude du domu, bo sie  
ojca boje.

I płacze.

„Uzaliło” się go mnichom i zabrali go ze sobą



na Śpiż. Tam dali go w Kiczmarku uczyć na księdza, a potem na dokończenie umyślili posłać do Lewoczy. Ale Janosikowi po drodze zrobiło się „luto” za ojcem i matką, których już dawno nie widział, i postanowił do domu iść.

Zabłądził w Lendackim lesie.

I tak samo, jak poprzednio, dostaje się Janosik do czarownic, tylko że są tylko dwie: matka i córka. Przechodzi tę samą próbę z węglami, poczem dostaje ciupagę, co sama rąbie, pas, co w nim za sto chłopów siła, i koszulę, której nie przebije nikt.

I tak samo każą mu „zazbójować naprzódzi ojca”, tak samo „cupnon ciapagom o ziem, jaz syski ze smreków sfyrcały”, tylko że tym razem Janosik dał ojcu nie reńskiego, ale tylko szóstkę (dziesięć centów) na drogę.

Oba warjanty przedstawiają Janosika zgodnie z legendą słowacką jako dobroczyńcę ubogich, a łupieżcę tylko bogaczy, oba też powtarzają anegdotki podobne. Dobrał on sobie dwunastu towarzyszy, a każdy musiał swoją „štuke pokazać”, nim go przyjął. Więc jeden najtwardszy kamień w garści kruszył, drugi najgrubsze drzewo łamał, trzeci nad las podskakiwał. W muzyce kocha się Janosik polski tak samo, jak słowacki.

Tu przytoczę anegdotki, spisane dobrze przez ś. p. profesora Wrześniowskiego, charakterystyczne dla góralskiej wyobraźni.

Szedł raz chłop na kiermasz, na woły. Pyta się go Janosik:

— Dużo masz pieniędzy?

On mu odpowiedział:

— Trzydzieści reńskich. +

Wziął i dał mu czterysta reńskich.

— Kup za wszystkie pieniądze woły, a jak pójdziesz z wołami, przyjdź tu i pokaż mi je.

Chłop zaszedł na kiermasz, takich wołów nie było drogich; bardzo się turbował i dał odembnować: „Kto na tyle pieniędzy woły ma?” Nie było, ino we dworze, a jeszcze nie kosztowały tyle; ale zapłacił i wiódł. Zaszedł tam do lasu z temi wołami. Janosik się go pyta;

— Dużoś dał?

Powiedział, że mu zbyło 100 reńskich, ale mu Janosik nic nie powiedział, ino kazał wieść do chałupy.

Szła raz baba na jarmark. Pytał się jej Janosik:

— Gdzie idziesz?

— Na kiermasz.

— Poco?

— Na buty, ale mam mało pieniędzy.

— Naści piątkę (5 reńskich), kup-se fajne buty.

Baba zaszła na kiermasz, pieniędzy jej żal było; nie kupiła butów i szła do chałupy bez butów. Potkała się na drodze z Janosikiem.

— Kupiłaś buty?

— Nie kupiła.



— Czemu?

— Bo mi żal pieniędzy.

Wziął, obłupił jej nogi po kolana.

— Kazałem ci buty kupić, toś mogła kupić; teraz masz buty darmo!

Dowiedział się, że tam gdzieś przy Sączu jest pan bogaty. Posłał posłańca do Mszany do dworu, aby mu tam obiad narychtowali: dla niego i dla dwunastu sług. Na znak zakręcił kawał ryfy na szyi posłańca. Ten zaszedł i melduje we dworze, iż Janosik będzie na obiad z dwunastu sługami. Obiecali, że będzie obiad, i posłaniec poszedł; a tymczasem z całych wsi pozganiali najmocniejszych chłopów i strzelców i przystroili się na niego. Janosik idzie, a tu stoją. Tak porwał kobyłsko za nogę, jak nie obyrknął dokoła, połowa ich padła. Złapał bryczkę i przecisnął przez pałac, na drugą stronę pobiegł i w locie ją chwycił. Potem wziął wiele pieniędzy bardzo i tak zbójował.

Liptacy wciąż na Janosika nastawali, aż cesarz posłał na niego regiment wojska. Wojsko przyszło z flintami, a Janosik wychodzi ino z ciupagą. Żołnierze strzelają, a Janosik kule w powietrzu chwytają i w oczy im ciska (bo się go kule nijak nie imowały). Jak zawołał: — „Ciupaga, rubaj!” — tak ciupaga wszystko po drodze rubała i regiment wojska uciekł.

Janosik bardzo był pobożny. Idzie raz i spotyka studenta z Podołenca, gada z nim i ku sobie przyjmuje. Student zmówił się niedługo z haj-

dukami i obiecał zabić Janosika. Raz Janosik modlił się, jak zawsze klęczący. Student, niewiedzący, że się Janosika kule nie imają, z flinty do niego wypalił, a Janosik jakby nie słyszał, ani się obrócił. Student drugi raz strzelił, i znowu Janosik ani się obezrał, tylko się modlił. Straszno się zrobiło zdrajcy; jeszcze raz strzelił i począł uciekać, ale Janosik skończył modlitwy, skoczył i zabił go.

Przytrafiło się jednego razu, że cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę, co się miało dwóch rycerzy bić w pojedynku. Tak cesarz przysłał szwadron huzarów po Janosika i posłał dla niego konia. Przyjechali i pytali się, gdzie Janosik mieszka? Pokazano im w górze, w lesie. Pojechali tam, spotkali Janosika i pytają go: — „Gdzie tu mieszka Janosik?” — On wziął, wyrwał buka z korzeniami i pokazał im, że tam mieszka. Oni się zaraz zmiarkowali, że to on sam, i prosili go, że postani są od cesarza, aby jechał z nimi bić się w pojedynku, i dawali mu konia, ale on nie chciał; powiedział im: — „Ja tam prędzej będę, jak wyl!” — W trzeci dzień za nimi poleciał, w trzeci dzień oni dojechali, a on już tam był. Meldował się, skoro ci przyjechali, że już jest. Chcieli go potem blachą skować na piersi i konia pięknego, krzepkiego dawali, ale on nie chciał ani szabli, ino ze siekierką poszedł. Szedł naprzód, a cesarz z wojskiem za nim — i zjechali się na placu z nieprzyjacielem. Nieprzyjacielski rycerz był na koniu, skowany okrutnie blacha-



mi, uzbrojony okrutnie. Wzięli się za ręce naprzód, a potem rycerz chciał Janosika zaciąć szablą i z pistoletu strzelić; a Janosik złapał konia za nogę, ino raz o ziemię cupnon, nie została mu ino noga w garści. Tak go cesarz chciał zająć ze sobą, ale on nie chciał iść, ino powiedział: „że ja za regiment obstoję, a moi słudzy za drugi”. I zniósł się na siekierce i już go nie widzieli.

Drugi warjant, znany mi, wyraźnie mówi, że „król węgierski powadził się o cosi z cysarzem austrijackim we Widniu” i cokolwiek inaczej opowiada ów pojedynek. Janosik powiada rycerzowi: — „S tobom, dziadu, biel sie nie bedem, bobyk sie hańbiel! (wstydził)” — i każe go bić swojej ciupadze, która potem bije i owego „króla węgierskiego”, powadzonego z „cesarzem austrijackim”.

Koniec Janosika był następujący: całe Węgry, a specjalnie Liptów, zaprzysięgły zgubę Janosikowi. Przekupiono jego kochankę i ta zdradziła, że Janosik ma siłę w koszuli i w pasie, a ciupagę zamknęła mu, jak jedni twierdzą, za dziewięcioro, jak drudzy, za siedmioro drzwi, inni, że zamknęła ją do dziewięciu skrzyń. Dość, że gdy Janosikowi podsypano pod nogi grochu, aby upadł, i gdy za poradą kochanki (lub także starej baby, jej powiernicy) przecięto mu rzemień na brzuchu, ciupaga się wyrabac przez te wszystkie zapory nie mogła, i Janosika ujęto i związane. Jeszcze jeden jest warjant, mało zresztą powtarzany, że byłaby się ona wyrabiała, ale gdy mu „zacięto” siekierę

w kark, wtedy zawołał on na swoją ciupagę: — *Stój, bo jus se mnie nic!* — i ciupaga w ostatnich drzwiach stanęła.

Tu na końcu jeszcze pokazuje się Janosika nadludzka moc. Z „centowemi” (centnarowemi) okowami na nogach obtańcowuje on „dwanast” razy szubienicę „hajduckiego”, t. j. w odskoki („koło ziemi” lub „ponad ziem” po góralsku; przysiudy), poczem, zawieszony „za pośrednie ziobro” na haku, wypala funt tytoniu we fajce, czekając na „pardon” od cesarza, do którego pisał, że jeśli daruje mu życie, to on sam stanie za regiment wojska, jego ciupaga za drugi, a jego towarzysze za trzeci. Ponieważ panowie liptowscy na pardon nie czekali, cały Liptów po dziś dzień ma płacić kary ćwierć korca cwancygierów czyli „wirtelik śrybła”.

„Tak się skróś freirki Janosik skończył.”

Ciupaga Janosikowa, jak jedno z podań twierdzi, wyrabiała się z owych siedmiu czy dziewięciu skrzyń, czy z za owych siedmiu czy dziewięciu drzwi i uciekła do lasu na Kralową Holę, a tam „zacięta jest w topole”.

Towarzysze szczęśli po śmierci wodza marnie. Pochwymano ich i stępiono; jednych w więzieniu, drugich na szubienicy. Najgorszą — jak opowiadają — miał śmierć Jakób Surovec, który posiadał własnej roboty strzelbę o dwóch lufach a jednym kurku w środku (coś w rodzaju garlacza Ko-



newki z „Pana Tadeusza”), wbito go bowiem na pal.

Takie są opowieści o Janosiku („o Janosikowi”) z paru jeszcze szczegółami jego życia, świadczącymi o straszliwej sile i niesłychanej odwadze tego zbójeckiego hetmana. Obrabowawszy kasę cesarską, dźwiga on skałę i podpira ją plecami tak długo, aż wóz, naładowany złotem, przejechał; zastępuje sam jeden całemu pocztowi jakiegoś barona Revaya na drodze etc. Jeżeli Janosik słowacki ma swój wspaniały, iście królewski tron w pamięci ludzkiej na Kralowej Holi—Janosika polskich Górali unieśmiertelniona jest pamięć w najbardziej uroczej i romantycznej dolinie Tatr, w Kościeliskach, gdzie są „okna zbójeckie” i „stoły”. Tam to w pieczarze jest „mundur” albo „zbroja” na dwunastu Janosikowych towarzyszy, a bronią wejścia flinty tak zaprawione, że ktoby wejść chciał, szarpnie sznurki, przyczepione do cynglów, i sam do siebie strzeli. Tam Janosik przy stołach zbójeckich jadał, stamtąd przez okna zbójeckie poźierał. Starzy chłopci z dumą to pokazywali.

Legenda o Janosiku jest uboga wogóle, w szczególności skąpa, mało zajmująca i nadzwyczaj dziecinna i pierwotna, ma jednak Janosik w sobie wszystkie warunki na bohatera heroicznego eposu. Potrzebne epopei tło daje ucisk panów węgierskich i odpór ludu słowackiego, potrzebny epopei krajobraz dają Tatry, doliny i góry słowackie i nowo-

tarskie. Trzeba je sobie jednak tak wyobrazić, jak one były wówczas, w XVIII wieku. Odwieczne, pierwotne, wiekuiste bory, olbrzymie gęstwy i przepadle puszcze, przerażające grozą i niedostępne, pełne straszego zwierza, wśród których kryją się tu i owdzie miasteczka i wsie (dziedziny); świecą polany, pełne dźwięku spiżowych dzwonków u szyi owiec i bydła, pełne śpiewów, hukania i brzęku kobzy i trąbit pasterskich. W tych borach i na tych polanach przesuwają się i gnieździ zbrojna Janosikowa banda, błyszcząca od stali i mosiądzu, huczna, wesola i drapieżna, stado wilków tatrzańskich czy gromada jastrzębi, na której czele spada na zamki i drogi węgierskie mściciel za krzywdy swego ludu, zbój z konieczności, a bohater wyobraźni ludowej z urodzenia, z przyrodzonych przymiotów, najsilniejszy, najzręczniejszy, najmężniejszy, niezawodnie także i najpiękniejszy między społecznymi. Achilles z ciała, Hektor z duszy. Niezawodnie walczy on bez nadziei zwycięstwa, poprostu dlatego, że nie walczyć nie może — jest na to za szlachetny i za potężny. Tragiczna śmierć, podobnie jak Achillesowi, musi mu stać przed oczyma: tamten idzie ku niej dla chwały, ten dla pełnienia obowiązku. I jakież to słowiański bohater! Słowianie, więc naturalnie jacyś niewolnicy swojej czy obcej tyranji — i ten jeden pośród nich, ważący wszystko dla obrony swego ludu i ulegający przemocy. Odwieczna historia Słowian, odwieczna historia słowiańskich bohaterów.



### JANOSIK W PIEŚNI

Ani słowacka, ani polska góralska poezja ludowa nie zdobyła się na żaden rapsod, na żadną bodaj pieśń o Janosiku. Po stronie słowackiej poeci Zaborsky i Botta opisywali Janosikową śmierć, ale te rzeczy nie mają większej poetyckiej wartości i, jak np. Zaborsky'ego, są raczej tylko suchem opowiedzeniem faktu z poetycznymi szczegółami: Zaborsky trzymał rzecz w stylu serbskich rapsodów heroicznych, nierymowanym dziesięciozłotkowym wierszem, Botta wziął formę pokrewnego polskiemu rymowanego dwunastozłotkowego dwuwiersza.

W zrozumiałem prawie zupełnie narzeczu słowackiem przytoczę fragment z poematu Jana Botty.

Hori ohnik, hori na Králowej Holi.  
Ktože ho nakládol? — dvanásti sokoli.  
Dvanásti sokoli, sokolovia bieli,  
jakých ľudské oči viacej nevidely!  
Dvanásti sokoli, sokolovia Tatier,  
jakoby jich bola mala jedna mater;  
jedna mater mala v mlieku kúpavala

zlatým povojničkom hola povijala.  
To sa chlapci, to sa jak oltárne sviece,  
ked' idu po háji, celý sa trbliece.  
Košiel'ky zelené, striebrom obrúbené,  
klobúčky obité, orlom podperené;  
valaška, karabin a pištoľiek dvoje:  
to sa chlapci, to sa potešene moje! —  
Ked' vatru rozložia na hronskom pohori:  
v dvanástich stolicich biely deň zazori...

.....  
Tie slovenské hory, to ich rodné dvory,  
Tie karpatské hole, to ich voľné pole.  
A na tom Kriváni zámok murovaný:  
To sú chlapci, to sú šabl'ou opásaní. —  
A ten ich kapitán, to je len veľký pán!  
Pierečko belavé, červenú dolomán.  
Ked' ide po lese, celý svet trusie.  
Pierečko trusové nad horou sa belie:  
Kloňte sa chalupy, traste sa kaštiele!  
Bo kohos' Jánošík na paloš načiara,  
Tomu nespomôžu ani tria cisára;  
A komu odpiše listoček trirohý,  
Tomu nespomôžu múry do oblohy.  
Raz Janík zapiskne: z dvanást' pušiek bliskne;  
Druhýraz zapiskne: sabličky zazvonia,  
Zahuči Považia, zahuči Pohronia —  
A ohlas zaleti v štyri sveta strany:  
Ktože tým pod sincom voľ'áčo zabráni?...  
Zahučaly hory, zahučaly doly,  
A chlapci zanôť'a: „Boly časy, boly!  
Boly časy, boly, ale sa minuly,  
A po malej chvíli minieme sa i my!  
Ked' sa my minieme, minie sa krajina,  
Jako by odpadol liršt'ok z rozmarina;



Ked' sa my minleme, minle celý svet,  
Jako by odpadol z cervenej ruže kvet".

W ludowych pieśniach słowackich i góralskich  
Janosik powtarza się często, lecz są to krótkie in-  
wokacje i apostrofy; na przykład:

Janošik, Janosik, kde tvoja valaška?  
V Klenovci u kata, do buka zatatà  
Janošik, Janošik, kde je tvoj palošik?  
Tam w hore na hore, zatatý w javore!

Co odpowiada polskiemu:

Janosik, Janosik, kaš podział pałosik?  
W Lewocy na murze, na jedbownym snurze.  
Janosku, Janosku, kaš podział wałasku?  
W Lewocy u kata w jaworze zaciatal

albo:

✓ Janosik, Janosik, kaš podział pałosik?  
W Kosycach na bramle, tam wisi na ścianie.

Na Špižu śpiewają:

Jus w Liptovje vezvunajum (dzwonią),  
ej, Janošika lapać majum, Boze muj!  
Jus go vjedum przez ulice,  
placum, kržicum tržl džifcunce, ehaja!

„Janču, Janču, serco moj!  
co tu patržiš, fsitko tvoje, Boze muj!  
„Na tim virsku šubeňica, ehaja,  
co jo bedim na ňij vipol, čuhaja;

Kebe jo bel o tem vjedžol,  
ze jo bedim na ňij vičol, Boze muj,

dol beť jo jum omúrovať, ehaja,  
zlotim, šriblim ovakuvať, čuhaja,  
a na virsik zloti kržizik, Boze muj,  
a na virsik zloti viňec,  
zebe znal, ze mlodiňec, Boze muj,  
a na viňec zloti kuňik,  
zeby znall, ze jo zbujňnk."

Przypomina to często przez Sabałę śpiewywane:

Na wysokim wirsku krzesom siubienicki —  
Wtoz hań budzie wisiał? Jano z Brzezawicki.  
Ej kieby jo wiedział na wtorej byk wisieć miał,  
od wirsku do dołu pozwybijać byk ju dał,  
ei od dołu talarami,  
a do wirsku dukotami,  
a na wirsku złotu kawku,  
hań połozem moju gławku...

Inna pieśń ze Špiža:

A co se tam stalo w l'iptofskiej stol'ici?  
Ulapil'i Janošika při milěj f pivnici.

Jak go ulapili, tak go povjunzali,  
tak go zaros do Ružnavi otsikuvac dali.

„Ružnafske panovje, pitum vos pirsí ros,  
dajčeze mi muj valasek do runcki jesce ros."

„Vera či ňedume, bo se obovume,  
bo me čebje, Janošiku, teros v runckaf" mume..

„Ružnafske panovje, pitum vos drugi ros,  
dajčeze mi muj pasecek oposać jesce ros."

„Vera či ňedume, bo še obovume,  
bo me čebje, Janošiku, teros v runckaf mume."



„Ružnatskie panovje, pitom vos trzeci ros,  
dajčeze mi mojum milum oblapič jesce ros.“

U nas na Podhalu śpiewają:

Jedzie furmon, jedzie furmon  
hore (w górę) dolinom,  
a Janosik, a Janosik  
brzezinom.

„A ty furmon, a ty furmon  
konie wypinoj, konie wypinoj!“  
„Kieś ty taki pon, kieś ty taki pon,  
wypnij se ik som, wypnij se ik som!“ —

co znów ma odpowiednią na Śpiżu w pewnej odmianie:

Jedże furman dolinom, dolinom,  
a zbujnici brzezinom, brzezinom.  
„Hop, stoj furman, nejehoj, nejehoj,  
steri końe vyprengoj, vyprengoj!“

„I vyprengoj sobje som, sobje som,  
jo ñe sluha, teś ñe pon, teś ñe pon.  
Kebe belo na roli, na roli,  
ñedał beś se po voli, po voli,  
aie ze je v doline, v doline,  
tam zbujnici v tambore, v tambore.“

Jako Janosikową pieśń śpiewał mi Słodyczka  
Jędrzej z Zubsuchego następujący fragment:

„Za Tatry, chłopcy, za Tatry.  
Jest hań zamek bogaty,  
Zabierajcie na się zbroję,  
Nie dajcie się, dzieci moje.“ —

co ma mnóstwo warjantów, na przykład:

jest hań zamek bogaty,  
ej sto Bohów do niehol  
ej podźmy se na niehol“

albo:

„som hań w zamku dukoty,  
ej kieby się nam nań ośmielić,  
ej byłoby się hań s cym podzielić.“

Jest jeszcze parę urywków, zdaje się, z dłuższych zatraconych pieśni:

Hej, z Plesiwskiej bramy poźierajom pany,  
Jako się Janosik wałaskami broni.  
Hej, z Plesiwskiej bramy poźierajom pany,  
Co Janosik robi pod siubienicami...

Wysławia go dwuwiersz:

Janickowie imie chodzi po dziedzinie,  
Janosik zaginon, imie nie zaginie —

a naprawdę jedynie piękną, odnoszącą się do Janosika śpiewanką jest ta:

Jęcom Tatry jęcom, Janosika męcom,  
Barzej jęceć budom, kie go wisać pudom...

Z towarzyszków Janosikowych, po polskiej przynajmniej stronie, jeden jest tylko wspominany, Surowiec, choć być może, że był to jakiś inny zbójnik tego samego imienia; piosenka, dziś już prawie zapomniana, brzmi: „Surowiec, Surowiec, kielos wyzor owiec?“



*Do broszury  
L. Kubicki  
G. Krawczyk  
P. Lurich*

### ZBÓJNICY

Owe orle pióra za kapeluszem, owe ciupagi cyfrowane z brzęczącymi kołeczkami u blachy na toporzyskach, owe pasy, wybijane mosiądzem, szerokie po pazuchę, z tkwiącymi w nich pistoletami i nożami, owe kobzy i gęśle, grające im na polanach, owe czyny nadprzyrodzonej siły, odwagi i zręczności i owa fantazja okrutna, straszna, ale nad wyraz junacza — oblały jakimś pozłacanym obłokiem schołzającą w głąb zapomnienia pamięć opryszków góralskich. Męstwo, śmiałość, pogarda życia, awanturniczość zawsze będą tem, co największy urok tworzy w mężczyźnie; nie pamięta się o tem, że zbójnik kradł — pamięta się, że szedł poto przez góry i lasy; darowuje mu się, że mordował — bo sam sobie niewiele robił ze śmierci.

Abo mnie zabijom, abo mie powiesom,  
Abo mie ptoskowie po wirskak ozniesom!

Zbójectwo zresztą, jak rycerskie rzemiosło szlach-  
cie, wyrabiało w Góralach pewne przymioty,

nadawało pewne cechy rasowe, nieporównanej piękności. Kto widział nieboszczyka Jaśka Nowobilskiego, ten stanąć musiał zapatrzony — przecie ten chłop rzeczywiście wyglądał jak orzeł. I ilu ich się znało, ilu się ich płacze starców po świecie, każdy ma w sobie coś z drapieżnego ptaka, a wiadomo, że to są najpiękniejsze z ptaków.

A przytem ta najpierwotniejsza, nieporównana, zatracona na zawsze i nie do spotkania nigdzie naiwność najdzikszych pojęć!

— Bogu ta o zbójectwo nie markotno — mówił Sabala — ino kiebyś się s Nim podzielił, a dawał mu na okwiare nie na ostatku, ale wsę z końca (zawsze z początku, t. j. przedewszystkiem).

Zbójnicy też pamiętają o Panu Bogu do tego stopnia, że jak tradycja mówi, kościół Św. Anny w Nowym Targu miał powstać z ich fundacji, co nie przeszkadzało, że sprowadzeni i osadzeni w sąsiedztwie w Ludzimierzu w XIII w. przez wojewodę Iwona Cedrę cystersi wskutek napadów zbójce-  
kich wynieść się do Szczyrzyca musieli, gdzie też dotychczas rezydują. Być może, iż z obrabowanego klasztoru byliby zbójnicy część łupów „z końca” do kościoła „okwiarowali.”\*)

Zbójnicy, którzy w XVII i XVIII wieku doszli do szczytu swego, jeżeli można tak powiedzieć, rozkwitu, już w początkach XIX zaczynają się „koń-

\*) Podobno obraz w ołtarzu kościoła nowotarskiego ma być także darem zbójcekim, na Węgrzech złupionym.



czyć," a obecnie już na palcach jednej ręki możnaby policzyć żyjących jeszcze starców, którzy z młodu „za bucki skakali." Już Goszczyński, zwiedzający Tatry w 1832 roku, znalazł zbójnictwo na wymarcu. W każdym razie znał on jeszcze i widział prawdziwych i czynnych zbójników. Oto co o nich mówi: „Zbójnik odznacza się zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnymi zaletami fizycznymi... jako człowiek, odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg wszelkiej uległości..."

„...Duch naszych Górali — pisze dalej — wydaje mi się być w pewnem pokrewieństwie z arabskim: nie mogą mieć Farysów, przestają na zbójnikach. Położenie ich nie pozwala im zamienić się w horde Beduinów, lecz z drugiej strony położenie to robi niekiedy Górala zbójem."

Jeżeli do „wyskakiwania za bucki" przymuszała niechęć do służby wojskowej za czasów nastania rządów austriackich, służby, z której się często do końca życia nie wracało, obawa przed karą za jakieś przestępstwo, rozwyrzenie się na hali podczas lata lub przeniewierzenie powierzonego bacy i juhasom dobytku, wreszcie bieda i potrzeba kradzieży, poprostu, aby żyć („Hodzili mé w Luptów cyby ka jakik dudków nie przynieść tamstela, bo roki były strasznie złe, ludzie się jus i warmuzu hy-

tali — opowiadał Sabala\*) — to przedewszystkiem pchały do zbójnictwa Górali ich przyrodzony temperament i warunki, w jakich żyli. Możliwość powiedzieć, że zbójnicy rekrutowali się w trojaki sposób: z tych, którzy uciec w góry z takich lub innych powodów musieli, z poszczególnych amatorów tego rzemiosła i z tych, którzy się już rozdzielili zbójnikami. Rozbójnictwo w znacznej części szło rodami, i znakomite to w swoim sensie bywały familje. Nowobilskich sołtysów z Białki już w XIV wieku honornie na szubienicy wieszają, a grasują oni aż na Śląsku, i to jest wogóle pierwsza rodzina na Podhalu, największe mając niegdyś posiadłości (w samych Tatrach mieli hale w Pięciu Stawach, w Białej Wodzie pod Wysoką, za Mnichem nad Morskiem Okiem, pod Wołoszynem etc.), zaszczycona wielu przywilejami i nadaniami przez królów polskich (Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego). Byli Matejowie zdawien dawna zbójnicy z Kościelisk, ich krewni Mocarni i Gadeje.

W Zakopanem jakieś specjalnie zbójectwu oddającej się rodziny nie umiem wymienić; wiadomo jednak, że Zakopianie byli wogóle do „zbijania"

\*) „Chodziliśmy do Liptowa, czyby gdzie jakich pieniędzy nie przynieść tamtąd, bo lata były strasznie złe, ludzie się już warmuzu chwyтали." Warmuz była to siekanina z różnych zielsk, zarobiona odrobiną maki albo ziemniaków i posolona, o ile kto sól miał. Makę mieli z perzu (pérnicy) i siczki owsianej. Głodowe lata trwały dłuższy czas na Podhalu w pierwszej połowie zeszłego wieku.



nader skorzy i słynni pośród sąsiadów. Kapitalne à propos Zakopian i Kościeliszczanów jest zdanie jakiegoś chłopca z Czarnego Dunajca, które ten przed którymś z księży z Podhala wyraził, a które nieboszczyk profesor Wrześniowski zanotował: „Jakże wy ta jegomość pomiędzy temi zbójnikami wytrzymacie, jedno noga tu, a druga tam, a ciupaga zaś hań, a fajki z pyska nie popuści, a ocy mu zaś na śrubie hodzom”—co miało malować zawadjacki wygląd i nie budzący zaufania charakter Podhalanów.

„W rzeczy samej—pisze ś. p. profesor Wrześniowski—sąsiedzi nie zapomnieli tych błogich czasów, kiedy Podhalanie „radzi z za bucka dzień dobry mawiali”. Kilka lat temu towarzystwo przyjezdnych z Warszawy gości na zakopiańskich wózkach i z zakopiańskimi przewodnikami co najswarniejszymi wybrało się do Podzamków na Orawie. Dojechawszy do karczmy, chcieli się nieco posilić, a bardziej noc pod dachem przepędzić. Po długich nawoływaniach Żyd karczmarz wstał i świeczkę zapalił, nie śpiesząc się wszakże z otwieraniem drzwi, bo w górach nocni goście zawsze wątpliwi. Jeden z Górali, należących do towarzystwa, człowiek w wieku i nadzwyczaj stateczny, chcąc skłonić karczmarza do większego pośpiechu, zapukał w okno. Żyd otworzył lufcik i głowę przezeń wysadził, a Góral celem zupełnego uspokojenia go rzekł:—„Wartko tys odpiérajcie, bo to goście ze Zakopanego”.—Na takie „dictum acerbum” Żyd scho-

wał głowę, zatrzaskał lufcik i świecę co prędzej zgasił oraz pozostał głuchym na wszelkie wezwania.”

Dziś zapatrywanie Górali na zbójectwo jest dwójakie: jedni się go wstydzą i mówią o niem niechętnie albo ze względu na swoją pobożność, albo z uwagi, że nie wypada majątnemu gaździe, jakiemuś radnemu gminnemu czy przedsiębiorcy przemysłowemu inaczej, jak ze wzdąrdliwą niechęcią na podobny proceder się zapatrywać; inni mają dlań mniej albo więcej wyraźną dawną tradycyjną sympatię, admirację—i gdyby się byli pierwsi porodzili, byliby niechybnie za bucki poszli. Wszyscy oni stosunkowo młodo pomarli, ale czyż dobrzy znajomi dawniejszych gości zakopiańskich, nieboszczykowie Wojtek Giewont, Józek Roj, Jędrak i Józek Pęksowie, Kuba Jędrasiów—nie byliby to zawołani zbójnicy, gdyby byli nie przyszli „trop tard dans un monde trop vieux”. I tak, czego mogli w niestosownej porze dokonać—dokonał...

„Zbójectwo między Górali jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły—obserwuje Goszczyński—tak dawniej było potrzebą moralną dla Ukraińca przeżyć część swego życia na Zaporozu.” Admiracja otaczała zbójnictwo, „bo hań zbójnikowi bodas w to nie ostał, o nie. Dziada\*) odścigali hent, ani się dziad ku zbójectwu nie brał. Na zbójnika trza bęło, coby bęł hłop, nie babrac”... Za dawnych

\*) Dziada—niedołęga.



lat zbójnikowanie było rodzajem patentu na Podhalu. Nie wójtowie, nie radni gminni, ale „dobrzy chłopcy” rej w dziedzinach wodzili. Oni też mieli przed innymi szczęście do kobiet i do dziś się zachowała stara piosenka dziewczęca:

W moim ogródecku majeranek bujny,  
Niech ku mnie nie hodzi ino zbójnik siumny...

Zbójnik był bohaterem swojej okolicy, on nadawał ton, on tworzył mody, na jego śpiewano i tańczono nutę (do dziś jest nazwa nuty Matejowej). Do jakiego stopnia sława i chwała zbrojnika zawracała w głowie, śwadczy powszechnie dawniej znany fakt, wielce ciekawy i oryginalny, przytaczany także i u Gołszczyńskiego, o sietniakowatym, to jest nieurodzivym chłopie, który symulacyjnie przez trzy dni zbójectwu się oddawał. Gołszczyński śnać jeszcze znał owego chłopca, pisze o nim bowiem: „jest to postać zupełnie upośledzona od natury, mały, pękaty, z nogami koślawymi, z ogromną głową...” Owóż ten człowiek zapragnął także sławy zbójnika i nie tail się z tem przed swoimi, że postanowił pójść w góry na „zbój”. Śledzono go więc, głównie przez ciekawość, co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił we wszystkie przybory zbrojcy; w rękę—wałaszka, przez plecy—dwie strzelby, za pasem—nóż i pistolety, w torbie—żywność na dni kilka. Tak zaopatrzony poszedł w góry swojej wsi, w ustronie dzikie, gdzie nikt prawie nie przecho-

dził, łatwo wyszukał miejsca, jakiego mu było potrzeba, skały i powalone drzewa. Siada więc za niemi, jak w zasadzce, przyczaja się, szpieguje okiem i uchem na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, zmierza rusznicę, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wałaszka, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiada, podskakuje, niby strzela, niby rąbie, to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni; po trzech dniach wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu, że ma prawo do imienia i sławy zbójnika...

Kto widział nieboszczyka Jaśka Nowobilskiego, śpiewającego przed muzyką owo klasyczne:

„Jo se pijem dwa dni, jo se pijem trzy dni,  
jo sie o piniondze nie turbujem nigdy!”

ten mógł odtworzyć sobie, czem dla takiego chłopca było życie. Było to jedno śmiałe, wichrowe kroczenie przez świat bez względu na nikogo i cokolwiek, życie, w którym to tylko było wagą „kielo hłop stał”, t. j. czego potrafił i zdolny był dokonać. Jakże bajecznie powiedział o sobie ten zbójnik:

„Powiadali, powiadali  
Ze zbójnika porubali,  
Porubali bucka w lesie,  
A zbójnika wiater niesiel...”



Zbójnik gardził domem i domowem życiem.

„Hejze Ino, ino jedź,  
Bo jo lepszy, jako kmić;  
A u kmićcia dzieci som,  
A jo chłopiec ino som!”—

śpiewywał Nowobilski „do drobnego”.

To złodziejstwo było piękne przez niesłychaną poezję krajobrazu i warunków, wśród których złodzieje żyli.

Cóż to za bajeczny zupełnie moment poezji ten Wojtek Mateja, kryjący się przed pościgiem śmiertelnym na hali, zabierający z sobą ze szałas, gdzieś na polankę śródleśną, dwunastoletniego wówczas bębna, Bartka Obrochtę, i kającego mu sobie grać na gęslach. „Mateja łóg ka do słonka, a jo mu musiał grać. Abo wbiel ci upagę w ziem, jo grał, a on sie nosiel dookoła nij.” Wyobraźmy sobie, jaka to była wówczas puszcza odwieczna Tatry, usłyszmy gdzie zdaleka brzęczenie gęśli dzikie, monotonne i smutne, jak stare góralskie nuty były,\*) i podpatrzmy gdzie z pomiędzy gałęzi na polance, słoncem zalanej, małe chłopię góralskie o długich, jasnych, spadających na czoło włosach, grające na skrzypcach, a obok leżącego olbrzymiego chłopca, świecącego od mosiądzu, albo „noszącego się” do-

\*) „Starodawne nuty w złoto owinać”—mówi stary skrzypek Krzyś.

okoła ciupagi tańcem, który musiał być podobny do podrywania się orła do lotu.

Zbójnicy kochali się w muzyce. W jednej bandzie, jak opowiada stary Wojtek Topór z Hrubego, aż trzy kobzy mieli. „Kie śli ka z przełęczu ku szałasom w dolinie, to jaze gielcało po wihrak”.

W owych przerażająco dzikich, groźnych, ponurych a porywczych i szerokich melodjach, które Sabała na swoich „żółbcokak” wygrywał, musiały „gielceć” te kobzy i wszystko to granie, które on za swej młodości słyszał—a także wszystko to, co pamiętał.

— „...Ej Sabała zaśpiewał, ej Krzywań mu odpedził,  
Ej bo o jego sprawie nik iny niewiedział...”

A były to sprawy homeryckie, pełne ognia, krwi w żyłach, a nieraz krwi na smreckach „oskicniętej”.

Zbójnicy byli „towarzystwem” silnie związanem i zaprzysiężonem między sobą, „jeden za drugiego dałby sie bęł na drobne kasecki porombać.” Mieli oni swoje znaki porozumienia, swoją gwarę, swoje obyczaje, pojęcia i obowiązki. Mieli swoje melodie, które grali, gdy na wyprawę mieli ruszać, a kiedy herszt czyli harnaś posłał po kogo ze swojej bandy, musiał iść. W nocy zapukał ktoś do okna, „zburzył na oknie”—zbójnik się zbierał czem prędzej i szedł: „musiał iść, zaprzisiengany bęł”.

„Zbójnike bodaś wto nie bęł. Dziada odści-



gali hnet"—kto też miał być przyjęty do bandy, musiał próby przechodzić.

Że herszt, podobnie jak król grecki u Homera, był najtęższym i najdzielniejszym we wszystkim pośród swoich, najczęściej więc z hersztem odbywały się próby. Były to wyścigi, zapasy („iść za pasy”), skoki, strzelanie do celu, rzucanie toporkiem i obcinanie gałęzi i t. p. Janosik tych prób nie przechodził, bo tylko machnął na ziemię Uhorczykiem, hersztem bandy, którą później sam dowodził, zaraz poznali, kto jest. I w tem było niebezpieczeństwo dla herszta, bo jeżeli kandydat okazał się lepszym od niego samego, albo dawnego dowódcę rzucano, a nowego obwoływano nim, albo się banda „ozruwała i z jednej dwie béiy”, czasem wrogo przeciw sobie występujące i napadające się nawet wzajemnie.

Kiedy zaś kandydat próby szczęśliwie odbył i uznany był za godnego „przystać ku wesołym”, „ku dobrym chłopcom”, następowało zaprzysiężenie. Herszt wyjmował pistolet z za pasa, podsypywał świeżego prochu na panewkę, kurek odwodził, kładł pistolet na pniaku i mówił mniej więcej w ten sposób:—„Ty... taki a taki... przed tym pistolec musis przisiengę słozyć zbójeckom na wierność andruskom. Mos wiedzieć, że jakbyś nos miał chęć przezradzić, wydać przed kim nos albo nase tajemnice i co ka ukwalimé, tyn pistolec som ci przytyj przisiendze do piersi strzeli. Klękniij na jedno

kolano przed nim i z obidwok ręcy serdecne palce słóz na krziz”.

Wtedy wszyscy zbójnicy podnosili ciupagi do góry i krzyżowali je nad głową przysięgającego, w drugich rękach zaś podnosili wysoko kapelusze i mówili:—„Pri sam Bohu!” (Na samego Boga).—„Pri sam Bohu”—powtarzał nowy zbójnik i był już „ich”.

Zbójnik otrzymywał swoje „miano”, jak naprzykład, owa słynna zbójniczka Maryna z Za Sichły, którą nazwano „Jano”, że była ospowata—(poki) „pokaty Jano,” a że była dziewczką—także „cyco-rzasty Jano.”

Zbójnicy podhalańscy zabijali rzadko, ale mężczyli strasznie... Gdy się kto przyznać nie chciał, gdzie miał pieniądze, mieli oni „sposób,” że wieszali za nogi u powały napadniętego domu, skwarzyli sadło i wrzące lali na gołe ciało. Żydów lubili przybijać za pejsy do drzwi karczem. O tem, żeby podpalali wsie lub pojedyncze domy, nie słychać, ale karczmy podpalać musieli, bo istnieje śpiewanka herszta:

„Hłopcy moi, hłopcy, kieście jus skończyli,  
mozebyście se karcmom fajki zakurzili...”

Łupem dzielili się w ten sposób, że dwie części brał herszt, a resztę w równych częściach—jego towarzysze. Pieniądze, o ile ich nie zabrano ze sobą, zakopywano najczęściej pod drzewem jakim, i stąd są owe śpiewanki:



„Od bucka do bucka jaze do jawora,  
hań nase piéniażki, hań nase kómora”

Albo:

„Jaworu, jaworu, coś taki p:katy?  
Cy cie ospucyli zbójeckie dukaty?”

Pod drzewem nieraz był wymurowany dołek, a drzewo dało się podźwignąć z nadeń i znowu po wsypaniu pieniędzy postawić. Osobliwszy był zwyczaj przy zaklinaniu skarbu, aby go nikt nie znalazł. Herszt opuszczał spodnie i nago przysiadł trzy razy miejsce zakopania, mówiąc: — „Nik cie nie otworzi, pokieli cie samo tak nie odpiecentuje, ani nicego tchnonć nie śmi, ino my sydźka wroz, co my cie przynieśli i sowali”.

Przysięgi pilnowali się zbójnicy bardzo, i rzadko słyszeć, żeby kto z „towarzyszy” innych pokryjomie ograbił. Wydobycie skarbu mogło się odbyć tylko za wspólną zgodą wszystkich, a głównie herszta, któremu przysięgano „wierność i posłuszeństwo jaze do samej subienice.”

Wiele też pieniędzy, nigdy już przez zbójników niedobytych, bo ich wpierv wyłapano lub wyzabijano, zostało w górach i „gnije”, a więcej jeszcze „gnije” ich w wyobraźni górali. Istotnie jednak znajdowano zbójeckie skarby i są dziś jeszcze „hrubi gazdowie”, o których się tajemniczo mówi, że się zbójeckimi pieniędzmi znalezionymi zbożacili.

Jeżeli zbójnicy polscy cieszyli się wielką popu-

larnością w swoich stronach, a taką sympatją u dziewcząt, że śpiewowały:

„Jaworu, jaworu, syrokiego liścia,  
dejże Panie Boże zbójnikowi szczęścia!”

to zato nienawiść ku nim na Orawie i Liptowie, gdzie „zbijali”, była, zresztą słusznie zupełnie, szalona. Kiedy prowadzili — jak opowiadają — przez wsie orawskie jednego z „wielkich” zbójników podhalańskich, schwytanego na rabunku, aby go oddać pod sąd, każdemu we wsi było go wolno trzy razy uderzyć jedną z lasek, które, związane po dziesięć razem, nieśli przed nim bandurzy, a kto nie uderzył, bo go, na przykład, w tej chwili we wsi nie było, ten leciał do rychtara (wójta) i meldował się, a za otrzymaniem odpowiedniego znaku, gonił bandurów ze zbójnikiem, znowu się „meldował” i otrzymywał upoważnienie do bicia we wsi, gdzie się zatrzymano. To też zbójnika tego, do krwawej masy podobnego, ledwie przy życiu doprowadzono do Orawskiego zamku (Jaśkę Kulę Wałowego z Kościelisk).

Życie zbójeckie dzieliło się na dwie połowy: porę letnią, „kiedy mu grało”, i porę zimową, o której śpiewano:

„Na zielonym bucku listeczki bielejom —  
Ka sie dobrzy hłopcy bez zime podziejom?...”

Zimowa pora była dla zbójnika zła. Do wsi swojej, skąd pochodził, często zejść nie mógł, bo lękał



się wójta, hajduków czy później żandarmów, czasem też nie było i ku czemu, gdy był biedny, nie każdy zaś, jak ów olbrzymi Gałajda (w Białej Wodzie) lub Tatar Myśliwiec, potrafił zimę w górach przetrwać. Szli więc zbójnicy „na zimowisko”, aby z pierwszym cieplejszym dniem znów się na naznaczonym miejscu zebrać i na wyprawę ruszyć. (Jeden ze zbójników, zimujący się gdzieś koło Witowa czy we Witowie, gdy tylko wiosna nadejść miała, „syćko ku Magórze Orawskiej pozięrał, a ino hań dym uwidział, zaros poseł i jus go nie bęło”.

Zimowisko przepędzali w różny sposób: czasem utrzymywali się ze swoich pieniędzy, czasem żyli przemysłem, bo to były wogóle „hłopy grzeczne i mądre i hojco (choź co) taki sprawiël i umiãł”, czasem najmowali się za parobków.

Opowiadał Sabała o jednym:

„Nieć cie Bóg broni takiemu pahołkowi co na despet zwyrządzać (na złość zrobić). Dałbyjsel! (Dałbyś sobie). Hej! Tynby ci podziękował, coby ci trzonowe zęby drugie wyrosły!

„Przystał ros—prosem piéknje—jeden taki zbójnik do Folfosa we Witowie za parobka.

„Jele ze to jakiś leń!—myślał Folfos.—Leży ino na piecu, a robić, pytoj Boze, nie kce nic!

„Folfos bël hruby gazda, ale sobie myśli: „Hej, kie ty nic, to i jo nic. Ta lez! Ba!”

„Nie dawał ino bryje owsianom—rzeke:—„Ta sie rusys!” — Ale on nic, ten zbójnik, na piecu leży, a owsianom bryje jé; nie rusył sie.

„No i dobrze nie bardzo, przisła wiesna, rusy sie. Jednego dnia nima pahołka.

„Folfos sie ta nie gniéwał, bo nie bęło o co. Wzion i orał w Bieskidzie od Orawy tłok (ugór) trójką byckami.

„Jaze przihodzi ku niemu ten parobek, w rzecy zbójnik, i gwarzy:—„Gazdo, to wom źle idziel! Bycki wyprząc i puścić na pase na młake (moczary), hej, a pude jo sprógowuć.

„I poseł. Wzion za kluc w kolcak i orali. Jeden zagon, drugi! E! Przy trzecim straciël Folfos i copke, ale nie bęło jěj casu wziąć z pod skiby.

„Hej! Siem skaraniel! Wtej sie Folfos domyslił dobrze, kogo karmiël jałowom bryjom bez zime. Ale jus bęło nieskoro.

„Poseł pahołek, co za trzi bycki orał, w las, ku Orawie.

„E, przisli w prawe polednie. Zabrali do imentu, co ka bęło, a samego Folfosa łapili i zlali mu wrzącym sadłe goły brzuk. Ino mu tak pedział tyn zbójnik, co za pahołka słuzył, kie odhodził:—„Owce mos, rznij! A owijoj sie skórami, to sie wygois. To za twojom bryje!

Zbójnicy ta, prosem piéknje, na syćko mieli sposób. O ba hej!...”

O innym opowiadał:

„Tyn zaś zasiod na Buńdówkak w Zokopanym pod reglami, na mrażnicy przy Samkowyk owcak. A przy nim sie tam obsiadła jego freirka, Zoślanka ze Zakopanego.



„Zbójnik bół hłop do wysydźkiego: mówił na książce, jak nic, a na gajdak grał co cud! I ludzie go mieli strasnie za co. Kościoły beły prec, toz to w niedziele shodzili się do niego na Buńdówki.

„Izba, prosem pięknie ik miłości, była wielgo, piec przykryli hustom i bóło. Zbójnik sie oblók w Zojsynom kosule, wzion książkę do garzci i mówił na nią głośno pod piece, a ludzie za nim.

„Śpiewali piosnecki i pieśni nabożne z książki, a kie sie jus to nabożeństwo skonczęło, haj, to jedli i pili.

„E! Bo hań nie dostompił odpustu nik, jak nie prziniós gorzołki w zbonku, spyrki abo i masła kruzlika. Haj.

„Wiedzieli jus o tym wysydźka, to nieśli, co wto miał, a śli.

„Kie sie jus najedli i napili, to zaś tończyli.

„Pięrsy wse wyhodził ze swojom Zoślankom zbójnik, a kie sie oni dość unosili, siód na ławe, brał dudy i grał, a ludzie tończyli.

„Nieroz, prosem pięknie, do wtorku to nabożeństwo dociągło. Haj. I niejeden gazda prziseł z tego odpustu łysy du domu. Bo on, tyn zbójnik, nie śpasował: jenoby mu hań bół wtóry do Zoślanki zyznon, brał za huncfuty za łeb i peu ś nim w pole, a włosy ostały w garzci.

„Tyn sie jus zoden nie wracał do izby wygwarać, ino seł pomału do domu, a macał sie po łbie.

„Nie bóło poco, bo zbójnik zartów niemiał; ale hań gniewu nie bóło—na drugom niedziele prziseł.

„Toz to na wiesne odmiérzał Zoślance piótne na spódnice w lesie od smreka do smreka. To bół ryf!

„Tak sie wej, prosem pięknie, zbójnicy zimowali hoćkie hoćkany, bo te bóły hłopy grzeczne i mądre i wse se wiedzieli poradzić, coby sie jako biédzie nie dać, haj...”

Ze zbójnikami nie robiono wiele ceremonij. Dwór, naprzykład, miał prawo złapanego zbójnika we dwadzieścia cztery godzin powiesić bez odnoszenia się do sądu, i u nas w Ludzimierzu był w piwnicy w murowanym śpichlerzu (widzialnym dobrze z kolei między Laskiem a Nowym Targiem, ale dziś już zwalonym) hak, w powalę wbity, na którym miano niegdys zbójnika powiesić. Za śpichlerzem zaś zaraz był dół, zasypyany murem i cegłą, gdzie tego zbójnika kości miały być pochowane. Wole jednak wierzyć, że na haku wieszano wagę na worki z ziemniakami, a w dole zagrzebano kości wściekłego psa. Sąd karał szubienicą. W Nowym Targu musiała być szubienica czy kilka, gdzieś od strony dawnej drogi do Zakopanego, albo też wiadziono od tej strony ku rynkowi i może tam wieszano, zachowała się bowiem śpiewanka:

Wiedom ze mie wiedom Saflarskom ulicom,  
pewnie mie zawiedom ku tym szubienicom...

I zbójnik śnać dla odstraszającego przykładu musiał być pozostawiony jakiś czas na widoku publicznym, skoro śpiewano:



„Zbójnickem na haku wiatery porusza,  
Zbójnicka freirka syćko popłakuje...”

W zbójniku łączył dawny Góral wszystko, co stanowiło najdoskonalsze przymioty człowieka, więc i nadprzyrodzonych mocy zdolność. Janosik, jak wiadomo, ma ciupagę, co sama rąbie, w pasie siłę za stu ludzi, koszulę, od której się kule odbijają. Kiedy do niego strzelają żołnierze, potrzebuje on tylko za pniak skoczyć i nogi skryć, a kule jak groch od koszuli odpadły. Potem ciupaga sama ich wycięła.

Zbójnicy mieli też dar przeczuć i jasnowidzeń. Ciekawą opowieść, nie podhalańską wprawdzie, ale pokrewną huculską, przytacza z tego zakresu Goszczyński.

„Jakiś dzierżawca wiejski—pisze on—ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem. Dzierżawca wie o tem, że zbójnik odgraża się na jego życie, aby się więc uwolnić od trwogi, bierze się na sposób: porozumiewa się z dwoma parobkami, obija ich różgami dla pozorów, aby uciekli niby wskutek tego pobicia, i następnie, przystawszy do bandy, zabili zdradziecko owego herszta, zwłaszcza, że rząd nałożył był cenę na jego głowę.

Parobcy przyjęci zostali do bandy i przez pół roku tak się sprawowali, że pozyskali zaufanie herszta i towarzyszy. Kiedy nakoniec postanowiono napaść na dzierżawcę, tak wypadło, że herszt wszystkich zbójników rozesłał i tylko ci właśnie

dwaj przy nim pozostali. Herszt począł sobie wróżyć z fasolek: po pierwszym rzuceniu zmarszczył się, po drugim zawołał:—„Żle!”—po trzecim rzekł do parobków:—„Chłopcy, tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Albo nas napadną, albo też który z was mnie zdradza?...”—Kiedy się odwrócił, obaj parobcy, nie czekając już dłużej, wypalili do niego ze strzelb z tyłu i zabili na miejscu.

Także z czarami leczniczymi i wogóle z „medycyną” obznajamiali się zbójnicy: trzeba było nieraz i siebie, i drugich goić. Jasiek Nowobilski na starość leczył ludzi na całą okolicę, a lekarstwa miał przedziwne, na przykład, na głuchotę: młode myszy, jeszcze nagie z gniazda, drobno posiekać, uskwarzyć ze sadłem, wetknąć głuchemu trąbkę z papieru w ucho i wrzące sadło z młodemi myszami wlać do ucha. Aby być nieczułym na ból, trzeba było „gacopierza” (nietoperza) w wodzie ugotować, tak, aby nie zawrzała, i gołe ciało posmarować.

Co do duszy i zbawienia zbójnika, mimo że Bogu o to miało być nie markotno, byle mu „okwiarę” dać i to „wse z końca” (z początku), a nie „na ostatek”, niektórzy mieli jednak pewne wątpliwości. I tak wiadomo, że jacyś dwaj zbójnicy chcieli się połupionych przez siebie skarbów pozbyć i pierwszemu napotkanemu chłopu, a było to przy piecu wapiennym w Kościeliskach, je dawali. Każdy niósł na plecach po pół centa (centnara) pieniędzy było tak:—„Kie sie z hłope stretneni, podajom mu:



„—Bóg ci pojechał, som sie usczęśliwis, a nos zbawis. Naści te piéniondze”.—Ale hłopisko béło jakiesi głupie, toz to sie obował. Nie kciał.—„Wydocie mie, abo cos kajs” — pado — nie kciał brać. No i dobrze nie bardzo zbójnicy dali té dudki dyabłu. Dyaboł mądry, toz to sie nie namysłował wiele — wzion. Ale hłopu zol béło, toz to pozierał pokryjomie za zbójnikami i widział jako ka z dyable radzili i jako mu te piéniondze dali i ka je dyasek sował. Lemze odešli, mój hłop hybaj na to miejsce, e, cos, kie jus ani piéniondzy, ani dziury na nie nie nalo. Kiela ik ta pote po nim posukowało i ś n m i samyk — kabyś ta?! Hłop włosy ze łba dar, jaze kciał smrecyński stawek spuścić, bo hań kas miały te piéniondze sowane być, cyby ik na dnie nie najść jako? E, dał pokój! Bo ino ze trzi razy motykom pogrzyb, obezwało sie ze stowku: — „Przestań, bo jak spuścisz ten stow, to syćkie wsi jaze do morza zatopis.” — Dyasek ik ta wiedział wartować piéniondzy, a hłopu po casie luto béło. Z dyable ta nic nie narobis, a ci zbójnicy dyabłu woleli piéniondze dać, jako ik na sumieniu dźwigać.”

Górale, sprytni i do oszustwa a podejścia zręczni i skorzy: w czym się lubują, to w opowiadaniu o przebiegłości zbójeckiej. Wołu ukraść pod Muraniem, obuć w kerpce w przeciwną stronę na wszystkie cztery racie i wieść ku Zakopanemu tak, że się wolarzom zdawało po śladach na rosie, że dwóch chłopów od Polski ku nim szło, to rzeczywiście był pomysł w swoim rodzaju genialny.

W niesłychanie sprytny sposób miał okraść Wojtek Mateja karczmę na Orawicach, wsina granicy polsko-orawskiej. Opowiadał o tem nieraz i chętnie Sabala:

— „Béla, prosem pięknie, na Orawicak karcyma wielgo, haj, a w niej synkowału hrubaśna kacmorka, przistojno i cyrwono na gębie, ino ze hłopa miała nic pote. Siedział ta przy niej, bo siedział, ale ta i kulik przy płocie stoi, kieś go wbiel, haj. I ino ze cujno wereda béla jak pies, i niwto hań po dudki do kumory nie seł. Nie béło poco, bo karcmorz strzóg.

„No i dobrze nie bardzo, co sie nie zrobiło, zwiedział sie o nik Wojtek Mateja, toz to zahodziel koło karcymy tedej i owędej, ale nie porada béło przistompić. Nijakim świata sie nie dało. Haj.

„Jaze sie Mateja ozpajedził i pado do towarzysy:— „Kizby to byli, ajby byli, siem dyasków zjadło, coby my hań dudków nie wzieni, kie, pado, wiemy, ze som jest i kany! Podźcie, hłopcy! Jo beem zaskakował koło kacmorki, karcmorz be synkował, a wy sie zatela z dudkami zwińcie, bo som je jest i wielgie. Hybajcie!

„Pošli. Muzyka prawie grała, włos Mateja do izby, ale ino som, a towarzysia pokryli sie, ka wtory móg, za karcmom. Mateja prziniós oscypków, uracył niemi kacmorke, karcmorza i muzyków, a pić dawać kazował i wzion sie ku kacmorce.

„Karcmorz hoj bél nic pote, je dyć ta mu sie i tak nie widziało, coby mu Mateja babe jesce a



i to między ludziami bośkał, bo to noń béło nie-  
ładnie, toz to ik pilnował, a béło cego, bo Mateja  
bél hłop piękny, dobrze uhowany, a baba ta jako  
baba, zwidział sie jěj hnet.

„Karcmorz pilnuje, muzyka jena grać, Mateja  
hip do tańca, a kacmorke pozwał, coby mu wej  
bockowała, haj!

„Tońcom, tońcom, Mateja bél tonecnik nie béle  
jaki, a on ta jus wiedział, co sie zatela onacy.  
Towarzisia sie wzieni podkopować do kumory,  
jaze sie i podkopali. Uwidział ik Mateja, bo mek  
ze ściany od kumory odpadował, toz to zaśpiewał  
zaros:

„Tańcuj ze se tańcuj kacmarecko tłusta!  
Na jutro na rano komórecka pusta,

ale mu to wej nik nie rozumiał, co śpiewa, bo sie  
nie nazdał nik, coby sie miało robić.

„A pote zaś tak:

„Uwazujze, Florku,  
Kiełbasa na kołku,  
Jest pono i syry,  
Cosik dwaścia śtyryl!”

Kie zaś Józka Mateje, brata, kapelus bez śpare  
dożrał, to mu zaś przepedział:

„Ej shyloj ze sie, Józek, bo ci kłabbuk widno,  
Ej jak karcmorz uwidzi, budzie s nami biédno.

Kie zaś uwazował, ze jus wzieni, co mieli  
wziąć, telo się opowazył, co zaśpiewał śmiało:

„Hej, zbijojcie, zbirojcie,  
Hłopcy uciekojciel  
Ej na mnie we wężozie  
W Kirak pocekujciel!”

„Zapłacił pięknie za muzyke i za gorzółke i od-  
hodzęcy jesce tém zydom śpiewał:

Ej kacmorecka rada, bo sie wytończyła,  
Ej ale karcmorz nie rad, bo budzie hojco jad!

i posét.

„Tak wej Mateja kacmorke w Orawicak wytoń-  
cél i karcmorza wyonacél. Hłop ta może wse cosi  
konać, ino coby po rozum do głowy seł, a nie ka  
inenděj, bo hań nimas poco. Haj!”

Podobnego fortelu użył jakiś baca na okradze-  
nie z owiec swego sąsiada, bacy z innej hali, nie-  
wiadomo jednak, czy Mateja był jego naśladowcą,  
czy on Matejowym, albo zresztą może obaj nie-  
zależnie od siebie na pokrewny pomysł wpadli.

Przyszedł ów baca z juhasami niby na zabawę  
w gościnę, przyniósł palenki, przyprowadził muzy-  
kanta ze swojego szałas, na miejscu byli też mu-  
zycy i zaczęto tańczyć. Tymczasem zręcznie pou-  
krywani juhasi podebrali się do owiec i wynoszą  
z koszara jedną po drugiej; nagle baca tańczący  
dojrzał, że jednemu z juhasów kapelusz widać z  
poza opłotka, zaśpiewał więc głośno przed muzyką:

Unizoj sie, uwysoj sie, bo ci kłobuk widno,  
Hrubsom chwostu, bakiesistom uwijoj sie śmizno!

co znaczy: „Unizaj się, podwyższaj, bo ci widać ka-



pelusz, bierz tęszą w zadzie, kędzierzawą, uwijaj się prędko".

Śmiały to musiał być chłop, bo tańczył tak długo, aż juhasi złodzieje mieli czas owce przepędzić ku swojej polanie. Trzeba było zabawić miejscowych, żeby nie spostrzegli i nie poszli w pościg.

Wielu „śumnych” chłopów bawiło się razem i juhasieniem, i zbójnictwem, czasem zbójnik zaprzestawał „zbijać” i zostawał juhasem, a częściej juhas, zaprawiwszy się na podkradaniu sąsiadów z owiec i byczków, przyuczywszy mięso jeść, nic nie robić i włóczyć się dniami całymi, rzucał dom i przystawał ku zbójnikom. Wogóle między zbójnikami a juhasami bywały dobre stosunki. Juhasi radzi byli, kiedy zbójnicy na halę przyszli i kazali barany rznąć i w mleku warzyć, bo wtedy razem z nimi jedli „štuke”, t. j. mięso, a przed właścicielami mieli wytłumaczenie, że ich zbójnicy przymusili. „Powiedźcie panu — czy gazdzie — że byli tu dobrzi chlapi” — tak żegnali zbójnicy szafas; więcej nie trzeba było. Musieli tylko juhasi skóry owcze tak, jak ze zabitych przypadkiem w turniach lub przez niedźwiedzia, pokazać. Zbójnik zabrał wprawdzie oszczypków i bryndzy, ale przyniósł ze sobą wódki albo i wina i było wesoło. Przy ucztach takich tańczono i bawiono się w szafasie. Nieraz też baca poprostu jakoby podatek bandzie zbójckiej w baranach i serach składał, a zato nie rabowali oni go już pokryjomu, ani przemocą, a

słowa „dotrzymowali, bo zbójnik był wse hłop honorowy i nie rad kogo pokłamał. Bo kie jemu słowa nie dotrzymali, je, to se ta hnet prisobięł, co mu trza bęło, nie pytuł sie nic. To tys jak baca bęł nie głupi, to prziryktował syćko, jak sie patrzy, zbójnicy se wzieni i spokojny bęł. I nie dokucał go nikt i baca móg spać, a juhasi za nim. Ino psi strzegli od wilków, abo i od niedźwiedzia i bęło dobre”.

Z Żydami byli zbójnicy w rozmaitych stosunkach. Raz w karczmach pili i płacili, aż ich aniołowie święci mieli za to do nieba pobrać —

Pije zbójnik, pije, turackami płaci;\*)  
Weznom go do nieba janiółowie swacil

czasem z karczmarzem w interesach bywali, gdzie indziej znów lub kiedy indziej karczmę złupili, podpalił, bywało, że i wymordowali, jak np. w Kościeliskach.

W piosenkach zbójckich pozostało trochę wspomnień o relacjach żydowsko-zbójckich, np:

„Daj palenki, zydu, dobry hłopcy idu,  
Jak nie das palenki, to przidzies na bidu!”

albo: to cie trapić budu. Można wątpić, czy ci płacili „talorkami”. Powitanie jednak bywało uprzejme.

Kacmarecko nasa nie zagasuj ognia,  
Przidom dobrzi hłopcy, budom tońcyć do dnia.

\*) turacki, dziś forma, zupełnie zaniechana, oznaczała monetę cwancygiera.



Szynkarz i wogóle Żyd nigdy nie wiedział, co go spotka — czy zarobi, czy go zrabują, drżał jednak na całym Podtatrzu przed zbójnikami, i do dziś po karczmach, zwłaszcza na Liptowie, grube kraty żelazne w oknach, murowane lamusy i drzwi z żelaznymi sztabami zdobią karczmy i dawniejsze sklepy.

„Cos, kie to ta za nic stało. Wziemi nowom huste lnianom, cienkom, skręcili fest, uwiązali u kraty — to w te razy wyjechała z futryny w pole. Hłopy były wte nie słabe. Dźwiérze, hojby jako mocne, kie ozhuźiali drzewo na folgak, a durkli, do razu puściły”.

„Kie puściły dźwiérze od sypanca — uczył Sabala — toz to cekoj ciho, w gotowości. Jak nika nic, idź śmiało. Jak ka stróż nocny usłisoł, zacon holoć — co béło robić, trza béło w uciekaca.”

Rabunki odbywały się w nocy i chodziło przede wszystkim o to, aby się ludzie nie pobudził. Ale zbójnicy mieli czary.

„Trza béło tej gliny dostać, co ksiądz piérsom z łopaty na truchłe ciska, a jageś nimóg dostać, to to trza béło o północy na smentorz iść i gwoźdź umarłemu z truchły od głowy wyciągnąć. Ale hłop musiał być strasznie śmiały i mocny, a i to na raczkach seł, bo przilatowały ptoki, wilki, strasecne wiatry, pokazywały się stawy i wołało złe, a kieby sie bół obeźrał, łeb urwało. Takim gwoździem ocyrklował to miejsce, ka mieli kraść, to ludzi w

domie cysto pięknie zaśpił. Samo to i tom glinom trza béło ziem do cyrkla (dookoła) pmaścić”.

Kiedy kraty z okna „wyjechały w pole”, taki był proceder: pierwszy zbójnik wskakiwał do izby i machał naosłep „dookoła sobie” ciupagą, a drugi wskakiwał za nim z zapalkami, „a oni ta jus wiedzieli, coby ten, co bół na przodku, tego ze zadku nie skalicél”.

Gdyby zbójnicy mieli byli swego Homera, jako najpochlebniejsze przydomki byłby on im dawał: wysokoskaczący i szybkobiegający. Bo zaiste, żeby wskoczyć przez małe, wysokie okienko dawnej chałupy albo karczmy góralskiej „na pośrodek izby”, trzeba było nadprzyrodzenie być gibkim i chybkiem. I tacy też byli. Kośla z Pardółówki, za wielkie palce u nóg się ujawszy, na stół wyskakiwał; Wojtek Mateja, po centnarowym ciężarze żelaznym w Kuźnicach za ucho wzięwszy, przez przykopę wodną skakał, Jasiak Nowobilski, „jak fciał, przodke, boke, zadke, równemi nogami ze ziemi na sionge drzewa wyskocél”.

O Wałowym Jaśku Kuli, który z ojcem Wojtką Matei, Janickiem, zbójował, opowiadają, że kiedy się próbowali do mety i Wałowemu kapelusz spadł, podjął go i Janicka w biegu przez głowę przeskończył oraz że kiedy mu znów kapelusz kiedy indziej wiatr zerwał, gdy przechodził kładkę, skoczył za nim nad wodę, schwycił go i na kładce zpowrotem stanął, to znaczy, że zatoczył łuk w powietrzu.

Na innem miejscu wspomniałem o chłopie z Za-



kopanego, który przez parę koni w biegu na szosie kuźnickiej skakał, skrzypiec w tańcu kerpcami dotykał, tak, że skrzypek grać nie przestawał, a nawet ciężarnej babie brzuch raz niemi musnął.

Biegać też trzeba było, abyś psa „za ogon hycił i telo bił, kielokces”, albo „coby cie pies nie dopad”. Tak biegał Jasiek Nowobilski, najszybszy i najzręczniejszy ze zbójników ostatnich czasów. Opowiadają, że na polanie, Rusinowej Jaworzynie, rozochociwszy się z juhasami, „bez śpas” wypadł z szałas i olbrzymiego psa owczarskiego za ogon chwyciwszy, począł bić toporzyskiem. Pies w nogi, Jasiek za ogon trzymał i bił, inne psy, bo ich tam dużo było, za nimi. „Ani tyn sie mu wyrwać, ani go hańty dopaść nie zdołały, telo wartki bël”.

Opowiadają też o nim, że razu pewnego tańczył w karczmie, a tu leci dziewczka i krzyczy:—„Jaśku, uciekajcie, ziąndary idom po was!”

— Jako fcom—powiada Jasiek i tańczy, tylko ciupagę, której z ręki nie popuszczał, poprawił w garści.

— Juz som haw! — woła ktoś, patrząc przez okno.

— Niegze ta—powiada Jasiek i tańczy.

Dwóch żandarmów stanęło we drzwiach. Wtedy Nowobilski chwycił flaszkę z wódką, poszedł prosto ku żandarmom i, śpiewając im:

„Hoćby was tu bël takik hłopców stami,

to jo z tom gorzałkom przejdem między wami!”

wszedł między nich. Żandarmi czy się przelekli,

czy zgłupieli, dość, że Nowobilski wydostał się w pole. A wtedy tylko im mignął w oczach, „tak sie im wej z ocy stracił, jak gmla, kie jom wiater zduje”.

Wojtek Mateja, któremu koń ze sankami z przed karczmy w Zakopanem galopem uciekł, dopadł go i, chwyciwszy sanki z tyłu, zatrzymał. Stary Szymek Krzyś opowiadał mi, że kiedy juhasił przy Gąsienicowych Stawach—dawniej był tam szałas—juhasił tam także ojciec znanego dziś przewodnika, Jaśka Byrcarza Gąsienicy. Otóż ten Byrcarz wziął się pewnego dnia do szycia kyrpcy z wołowej skóry, „pół cola shrubść”; uszywszy, wysmarował je owczem masłem i „lóg rzekomo spać”. „Kie my rano powstajali, Byrcorz bël przy owcax, ale kyrpce na ścianie wisiały dziurawe. Pyto sie go baca, kiz to sto dyasków, skąd sie w nik dziury bez noc wzieny, a Byrcorz sie ino przyśmihuje. Ale w Jabłonce za Cornym Dunajce bël piniondze zabrane”. To znaczy, że w krótką letnią noc zdążył taki kurs odbyć, że tegim klusem trzebaby jechać, żeby mu wydażyć—no i że zpowrotem jakie sześćset metrów pod górę miał i to do Gąsienicowych Stawów dość przykro. Ale jak Krzyś twierdzi, i z Myślenic potrafili w góry „dobrzy chlapi” za jedną noc „dudki przynieść”, a gdy się dawniej w Myślenicach nocowało i raniutko ruszyło końmi, to się w Zakopanem na wieczór stawało.

O żyjącym do dziś przewodniku Szymku Tata-rze wspomina ś. p. Wrześniowski, że ze stufunto-



wym upolowanym capem na plecach leśniczemu i jego towarzyszowi, konno goniącym po drodze kuźnickiej, uciekł. Nieboszczyk, Maciek Sieczka, słynny przewodnik i strzelec, uciekał niedźwiedziowi, który, jak wiadomo, niezmiernie szybko biega, i uciekł; być jednak może, że tylko dlatego, że go walił po łbie ciupagą.

„Hłopy bęły jaz nie zal!” Siła i szybkość nóg, „zwyrtność” były głównymi przymiotami urody góralskiej; „jo, kiek bęł młody, tok sie nie cuł idęcy” — słyszy się od starych chłopów. Taniec też góralski jest jednym z najwięcej wytężających nogi, jakie wogóle istnieją na świecie, a dawni ludzie popisywali się przy nim szalonemi skokami. „Nowobilski po powale hodziér” — to znaczy głową raz wraz powały sięgał przy tańcu, a łamać dyle w podłodze, „kie hłop cupnon”, było rzeczą zwyczajną. Dzisiejszy taniec „zbójecki” jest parodią dawnego koła, którem się „towarzisia weselili” gdzie w głębi prastarego boru; pozostało nawet tańczenie z ciupagami. Dawni tancerze wyrzucali je wysoko nad głowę i chwyтали w powietrzu, co nie było dla nich sztuką, bo „hłop miał gałęź i na pół strzelania uciąć na smreku ciupagom”. Od dawien dawna ćwiczenia tego Podhalanie zaniechali; znają je podobno jeszcze Huculi.

Była to tedy w swoim rodzaju szkoła rycerska i podobnie jak raubritter uczył się konno jeździć, mieczem rąbać, kopją uderzać i tarczą zastawiać,

tak zbójnik góralski ćwiczył się w skokach, bieganiu i robieniu toporem.

Życie to było wesołe, ale groźne. Oto pewnego dnia z urzędu przychodził nakaz do wójtów, i całe gminy wyruszały „na obławę” na zbójników, jak na wilki. Ludzie zbroili się w widły, kosy, śperulce czyli kije juhaskie opalone, szli leśniczowie i leśni ze strzelbami. W lasach podwołoszyńskich — opowiadał mi nieboszczyk stary Wala — pięciu zbójników na takiej obławie wybili. „Ludzie case nie bars chentni śli, bo zbójnicy we swojej stronie mało kie co zwyrządzali, ale nakaz bęł, to musieli”. Z nastaniem służby żandarmskiej „obławy” ustały; robiono ich wiele na Janosika, bezskutecznie, bo się wskutek czarów „tracił z ocy jak mara”.

Zbójnictwo zaczęło się kończyć zupełnie już właściwie w pierwszej połowie zeszłego wieku. Złodzieje na większą skalę trafiali się wprawdzie jeszcze do niedawnych czasów, ale ostatni „prawdziwi zbójnicy” kończyli swoją karierę około lat sześćdziesiątych — siedmdziesiątych. W 1866 czy 7-mym roku osadzono w więzieniu Wiśnickiem Mateję, skąd już nie wyszedł — (jak jedni powiadają, umarł on tam naturalną śmiercią, jak drudzy twierdzą, mocował się z jakimś okrutnie silnym „Lachem” i ten mu grzbiet złamał, na stół go przegiąwszy, trzecia wreszcie wersja twierdzi, że stał przykuty do słupa, z pod którego wyszedł smok i pożarł go żywcem). Wojtkowi Gałowi rękę urwało



koło młyńskie, chwyciwszy za szeroki rękaw koszuli juhaskiej, ręką bowiem młyn zatrzymać potrafił, i z tego umarł. Kośła z Pardółówki umarł młodo na zapalenie płuc, najdłużej trwali Jasiek Mateja, bo tego kilkanaście lat temu dopiero ujęto gdzieś za Gubałówką po długiej wędrówce po obcych stronach, i Jasiek Nowobilski, który się lat temu około dziesięciu otrul.

Po każdym z tych „hornych hłopców” pozostało wspomnienie jeszcze dosyć żywe. Największym zbójnikiem, najsprytniejszym, najzawziętym, najzuchwalszym złodziejem był Wojtek Mateja. Miał to być chłop wysoki, tęgi, piękny, niezmiernie towarzyski i „ludzki”, uprzejmy wesoły i hojny. W karczmie, kiedy do niej przyszedł, ludzi częstował, „pił każdy za jego pieniądze, ile chciał”, z każdym był grzeczny i zwady unikał. Straszny był tylko, kiedy mu kto u jego kochanki, Kacki, w drogę wchodził, i w chałupie, wystawionej dla niej gdzieś niedaleko Strążysk pod reglami, krew się nieraz przelewała. W pierwotniejszych naturach góralskich Mateja zachował wspomnienie, pełne admiracji. Bardziej cywilizowani chłopci, a zwłaszcza pobożniejsi potępiają go, gdyż złupił kościół w Chochołowie i napadł na księdza w Zarze (nie-daleko Murania), choć, jak ksiądz zeznawał w Lewoczy, „był nolepsy, bo go nie dawał bić”. Wydały go ostatecznie w ręce władzy albo srebrne łyżeczki, skradzione u księdza w Zarze, które służąca księdza zakopiańskiego miała poznać, albo

też inny rabunek, o którym opowiadają: Jednego razu zaszedł Mateja na halę i począł rozpytywać bacę, czy nie wie o takim miejscu, gdzie się schodzą trzy potoczki. Baca domyślił się, że Mateja szuka zbójeckich pieniędzy i powiedział, że nie zna takiego miejsca, ale potem zaczął sam szukać i znalazł zakopane dukaty. Mateja też szukał i odszukał wreszcie miejsce, ale poznał tylko, że ktoś pieniądze wybrał. Baca, pytany, znowu się zaparł, ale był tyle nieostrożny, że powróciwszy do domu, wystawił dukaty na słońce na korytku, aby się przesuszyły z wilgoci. Przechodził jakiś Żyd i opowiedział o tem Matei, zapewne spodziewając się nagrody. Mateja poszedł po raz trzeci do bacy i proponował mu równy podział, ale baca znowu się zaparł, że o niczem nie wie. Ale pilnował się już i sypiał na strychu z całą rodziną, wyjawsz jednej córki, która sypiała w izbie nadole. Mateja niedługo kazał na siebie czekać. Zebrał towarzyszy i przyszedł w nocy. Zastawszy dziewczynę samą, prosił jej, żeby mu powiedziała, gdzie ojciec pieniądze schował. Dziewczyna czy naprawdę nie wiedziała, czy nie chciała powiedzieć, ale Mateję poznała i zdradziła się z tem, a ten z obawy wydania udusił ją na śmierć. Góral takim zabójstwem, czyli raczej morderstwem, się brzydzi, i wprawdzie obrońcy Matei twierdzą, że to nie on udusił dziewczynę, ale jego brat Józek czy jakiś inny zbójnik, bądź co bądź jednak na „jasną sławę” zbójecką Matei napady na kościół i plebanję i owo udu-



szenie rzuciły gruby cień. „Z pierwotku bęł zbójnik, jak sie patrzy, kradł na Luptowie, ludzi cęstował, radzi go widzieli, ale pote się zeżlił, zdzi-cał, Pana Boga nie sanował, toz to mu na koniec źle wysło i marnie zginon.”

Wojtek Gał pozostał w pamięci ludzkiej przede-wszystkiem jako niebywalej siły człowiek. Konia rosłego, który wpadł w moczary, za ogon i za grzywę wyciągnął, a dwunastu juhasów na Kon-dratowej, gdzie był bacą, którzy się z nim o ja-kieś pieniądze „pokłopotili”, sam jeden „wyprał” czyli wybił. Miał być dość wysoki, ale go „w so-bie trzi razy telo belo, co teraz notęsego hłopa”. Sławnie grał na dudach czyli na gajdach (kobza). W przeciwieństwie do Matei miał być ponury. Trudnił się głównie jako złodziej napadaniem na inne hale i porywaniem baranów, byczków, sera i co mu pod rękę podpadło. Przechodził z Kon-dratowej na Liptów i tam kradł najczęściej. Mięsa z pokradzionych bydłał miało być u niego w szalasio zawsze pełno i uczta była nieustająca. Atakował też kupców, którzy w jesieni nabywali na halach owce. Żeby kiedy kogo zabił albo ukrzywdził, nie słychać. Gał słynął z tego, iż miał nóż, z którym wyszedłszy naprzykład na granicę polsko-węgierską w górach, zakreślał na ziemi ko-ło i nóż wbijał w okrąg; z tego zawsze „zmiarko-wał”, czy „będzie scęście abo nie” i nigdy się podobno nie mylił.

Ciekawą wyjątkowo postacią miał być stryj

dziś żyjącego, wspomnianego Szymona Tatara (do dziś mimo lat ośmdziesięciu u starych ludzi Stasiowego Symka)—Tatar, zwany Myśliwiec. Ten przed jakimi siedmdziesięciu laty uciekł w góry przed wojskiem i—„co miał konać” czyli robić—poszedł „na zbój”. „Małe to béło, sucherlawe, ale strasnie śmiałe, wytrzymałe, mocne i zytkie”. Z oba-wy przed władzą nawet w zimie nie schodził do wsi, ale mieszkował w grotach pod Rohaczami i Osobitą\*), gdzie się zwierzyną upolowaną żywił, bo strzelec był niezrównany i stąd miał przydo-mek: Myśliwiec. Nieraz takie mrozy przetrzymy-wał, że mu „cysto piéknie pazdury z palicuk (pal-ców) słażyły”. Daleko się na zbójectwo nie zupu-szczał i, zdaje się, z bandą żadną towarzystwa nie utrzymywał, a tylko głównie na Orawie grasował, ufny w swą siłę, szybkość i zręczność, sam jeden. Z bacami okolicznymi był w przyjaźni i ci mu w lecie oszczypki i mleka dawali, a on im za to pióra z głuszców i orłów darowywał. Palił dużo i po tytoń śmiało do wsi orawskich schodził.

Tak mu jednak zimy w górach dogryzły, że się sam w ręce władzy wydał. Otrzymał ówczesną ka-rę „palic” czyli kijów, które setkami rachowano, i został zamknięty w Orawskim zamku, skąd uciekł, ale go schwytano i znowu w tymże zamku za-mknięto. Wydobył się stamtąd podstępem. Siedział z drugim chłopem, a obaj mieli kajdany na nogach.

\*) Pod t, zw. „Kuchnią”.



Przyszła raz straszna burza w nocy, i Myśliwiec, wyłamawszy jakimś sposobem drzwi, wziął na ramiona swego towarzysza, okrytego płachtą, i wyniósł z kaźni. Żołnierz, stojący na warcie, widząc olbrzymią postać, posuwającą się wolno przy brzęku łańcuchów w ciemnościach nocnych, tak się przestraszył, że „przicupnon” tylko, i Myśliwiec doszedł do muru. Tam udało mu się kajdany sobie i towarzyszowi przerwać i uciekł.

Te i nowe sprawy złodziejsko-zbójeckie ściągnęły na jego głowę ogłoszenie nagrody za wydanie. Niedługo też, gdy wieczerał w karczmie w jakiejś wsi orawskiej, Żyd posłał do rychtara czyli wójta, że Myśliwiec jest u niego. Z dwóch wsi zbiegli się ludzie, bo to był „ziwan” czyli zbójnik „velmi straszny”, z czym kto mógł, i nawet jakiś urzędnik węgierski nawinał się ze szpada. Ten najgorzej wyszedł, bo mu Tatar nos odciął ciupagą, i jak jedni powiadają ciupagą i wydartemi widłami żelaznemi, jak drudzy—ciupagą i dwoma nożami, trzymanemi w garści na dwie strony, wyrąbał się i wypruł z tłumu tyle, że się we drzwiach znalazł. Wtedy cisnął nad głowy ludzi czuchę, a że wiedzieli o nim, że choć mały, niesłychanie wysoko skakał, rzucili się wszyscy za czuchą, myśląc, że to on sam ponad głowy wyskoczy; ciemno było i widzieli tylko, że się coś zamajaczyło w powietrzu. W zamieszaniu Tatar wyrąbał się dalej z tłumu i skrył między domami. Zdaje się, że już bujna fantazja dodaje, „ize po ozeńsciu sie hłopów

wrócił się do karcymy i wieczerze dojad”. Wbito mu w walce widły w udo, ale mu to nie dokuczyło zbyt mocno.

Jak opowiadał Szymon Tatar, powróciwszy wreszcie „na umarcie”, starcem już prawie, do Zakopanego, gdzie go w spokoju pozostawiono, widząc, że mu się już niewiele należy, nawet sypiał z ciupagą, z którą się przez kilkadziesiąt lat nie rozstał. „Nie wiemy czy jom telo ukohał, cy sie obował, ize go przez niej weznom jako prędej (dawniej) Janosika”.

W ogólnym zarysie zeszkić się starałem „zbójników”. Szczegółów jest moc nieskończona i prawie każdy stary chłop, każda stara baba coś dorzuci. Każda okolica ma też swoich bohaterów, swoje wersje, tradycje i podania. Długo jeszcze, choć i w tem powoli zczasem zaginie, żyć będzie pamięć „wesółych” w pieśni, która ma charakter podwójny: improwizacji osobistych, które zostały zapamiętane i stały się powszechną własnością — i opiewania przez zawodowych poetów ludowych. Pieśni zbójeckie, jedyne w swoim rodzaju i najoryginalniejsze i najszczególniejsze pośród pieśni góralskich, dają doskonały obraz i życia, i charakteru zbójników.



## PIEŚNI I ŚPIEWANKI ZBÓJECKIE

(Ze zbiorów Goszczyńskiego, Zejsznera i moich własnych; większa część pieśni, zanotowanych przez Goszczyńskiego i Zejsznera, do dziś się zachowała w pierwotnem brzmieniu).

Hej powiadali ludzie se mnie zbójnik budzie,  
jak budzie to budzie, samym wirhe pudziel  
Hej nie budem jo gazdom, nie budem rolnike,  
ino budem hōdziel zbójckim hodnikel  
Hej a jak mie złapiom, to jo budem wisiał,  
na w.érsku jedlicki budem sie kołysał  
Nie bój się, freirko, hoć jo na zbój pude,  
ino proś u Boga, to jo twojim budel  
— Jawo-u, jaworu syrokiego liścia,  
dajze Panie Boze zbójnickowi scęściał...

Darmo wy mie, darmo, do skoły dajecie,  
se mnie zbójnik budzie, darmo nakładzieciel

Z mojego Janicka bedzie se tyz zbójnik,  
bo se przetorował do Luptowa hodnik!

Ucyła mie matka pięknie zatańcować,  
A ociec mie ucęł ukraść, dobrze sować!

Bucyna, bucyna, coś mi ty ucęła?  
Siekiérkom wywijać, gorzolecke pijać!

Ucies ze sie, ucies, mój Janicku, ucies!  
Kie cie łapać pudom, do wirsycka uciec!

Nie bój sie, Janicku, nie bój sie tego nic,  
Orawskiego Zomku, luptowskik siubienic!

Hej! Bez jeden wirsycek strużyła sie drózka!  
[biegła drózka]  
Hej! Na drugiém wirsycku powiesili Jozka!

Hej, jescek nic nie ukrod, ino dwa barañce!  
Hej a juz mie zakuli w zelazne bugańce!

Hej kieby nie owiecki, kieby nie barany,  
nie zbércałyby mi za nozkak kajdany!

Jescek nie zbójował dopiéro ten rocek,  
jus mie kcom zawiesić na zelozny hocek!



Powiadajom na mnie, ze jo ukrod jagnie—  
jo je ukrod z owcom, nieg mi robiom co fcom!

---

Ej jehali zbójnicy drógom od Tokaju,  
Ej i juz zawracajom do polskiego kraju!

---

Hej baca nas, baca nas,  
dobryk hłopców na zbój mas!  
Jesce byjse (byś se) lepszyk miał,  
kiebyś se im séra dał!

---

E jescek nie widział tak dziewczyny płakać,  
jak moja płakała, kie mie przišli łapać!

---

Kieby to tak Bóg dał coby jo sie wrociéł,  
ryktarem byk orał, przisiężnemi młóciéł!

---

We wirsku nad nami hawrani krakali,  
my na to niedbali, strzyzki my rzezali!

---

Bratowie, bratowie, kohani bratowie,  
budom nam rubali głowicki katowie!

---

Ciemna nocka béła, kie my na zbój pošli,  
nie dał Pon Bóg scęścia, nic my nie przinieśli!

Boze nom pomagaj i tym nasym nózkom,  
dzisiok powendrujom ku luptowskim wirskom.

---

Ojcasku, ojcasku, marne twoje zycie,  
e kiebyś ty nie krod, nie łapaliby ciel

---

Na luptowskiej hali ogienek sie pali—  
Wtoze go hań nakłod? Janicek ze skali.

---

Ej jescek niewiedział jako owiecki kraść?  
Do soli je zwołać, za rogi je dopaść!

---

Hej nimas to jako zbój,  
padnie listek: to sie bój,  
padnie listek z jawora —  
hybaj Jano do dwora!

albo:

padnie listek bukowy,  
jużci zbójnik gotowy!

(To znaczy: jak tylko liście opadną w jesieni  
i nadchodzi zima, już się zbójnik nie ma gdzie skryć).

---

Góry nase, góry, to nase kómory.  
bukowe listeki nase poduseckil

---



Janicku zbójnicku, ludzka komóreckol  
Nie zadoj mi tego, moja fraireckol

---

Redykał sie Janik z gronika na gronik,  
jaz sie przyredykał zbójnikom na hodnik.

---

Hej co temu padnie, co owiecki kradnie?  
Hej cosby mu padło? hej strycek na garłol

---

Tańcowali zbojnicy  
w murowanej piwnicy,  
kazali se pięknie grać,  
a na nozki poziérać.

U nas w Ludzimierzu śpiewano warjant:

Tańcowali zbójnicy  
w Mardulowej piwnicy,  
a Mardula niewiedział,  
jaz mu Strycek powiedział.

(Strycek—to nazwisko gazdy. Z rodziny Mardulów, gęsto osiadłej na Podtatrzu, był jeden zbójnik sławny, który „robił na bani” w Magórze, t. j. kopał rudę żelazną i zabił przez zemstę jakiegoś urzędnika. Ciupagę po nim posiada w swoich zbiorach p. Zygmunt Gnatowski w Zakopanem, w „Kolebie“.)

---

Udali mie, udali,  
cob'ik corci zabralil

Udali mie zbójnike,  
ze jó hodziel hodnikel

---

Kieby nos tu bélo takik hłopców seści,  
ej przywlekliby my nie z jednego koscil  
Kieby nos tu bélo takik hłopców ze sto,  
ej toby my pošli do Luptowa prosto!

---

Hojby was tu bélo takik hłopców stami,  
to jo se wywinem ciupazkom nad wamil

---

Mali hłopcy, mali, kiej sie na zbój brali,  
jesce nie porošli, kiedy na zbój pošli,  
jesce nie zblijali, kie ig połapali,  
dyc ig połapali w zakopiańskiej hali.

---

Nie bélo mie w domu, bélek za górami,  
moja frairecka posła z zbójnikami.  
Abo sie zwerbujem, abo pudem na zbój,  
juz jo ci freirko nigda nie budem twój!

---

Dobrze Janickowi, pokiela je młody,  
przeskakuje bucki, jaworowe kłody.

---

Ej kie jo se skocem z bucka na jedlicke,  
nie z jednej panienki urobiem zenickel



Ej kie jo se skocem ej z bucka na pniaka,  
nie z jednego pana urobiem zebraka!

---

Krajami chłopcy, krajami,  
idom hajducy za wami,  
biercie na sie, biercie zbroje,  
nie dajcie sie, dzieci moje!

---

Piórecko mi wijom, kosulke mi syjom,  
zapłaces dziewczyno, ino mie zabijom!  
Abo mie zabijom, abo jo kogosi,  
bo sie mi do góry cupryna podnosi!

albo:

abo sie mie wtosi do woli naprosi!

---

Zawieście, zawieście Janicka na bramie,  
niegze już nie hodzi po luptowskie konie!

---

Wsyscy moi bracia pošli po za bucki,  
a jo se nie poseł, bok se bël malučki!

---

Ozwijaj sie bućku syćko po malućku,  
jak sie ty ozwinies syćkik nos przykryjes!

---

Cudujom sie ludzie, cudojom sie pani,  
co Janicek robi pod siubienicami!

---

E z turnie, chłopcy, z turnie do zielonej równie!  
E jak se tam śleziecie, na kupca wleziecie!

---

Zabili Janicka między turnickami,  
leje sie krew ś niego trzoma potockami!  
Zabili Janicka na zielonyk łukak,  
cemus sie nie broniël, miał ciupazke w rukak?  
Zabili Janicka w zielonej ubocy,  
ino sie od niego kapelusek tocy!  
Zabili Janicka przy zielonym lesie,  
wtoze mu wtoze mu kosulkę poniesie?  
Zabili Janicka pod zielonom turniom,  
a dziewczęta płacom, jaze Tatry dudniom!

---

Zginies ty, Janicku, zginies jako muska,  
zginies od siekiérki, zginies od obuska!

---

Niebedzie, niebedzie ma miła wiedziała,  
ka sie bedzie se mnie krewka oźlięwała?

---

Spodobala mi się dziewczka u Janicka,  
jak mi jej nie dadzom, pudem na zbójnicka!

---

E dy nasi pani coście wy nom dali?  
Ej obręce na ręce, wy przeklente Niemcel!

---



Kieby nas tu béło jako aj paholik,  
toby my ozbili ryktarowi dworik!  
Ryktarowi dworik, a kacmorce trunek,  
toby nos nie minon ten Orawski Zomek!

---

Poza bucki, poza pniak,  
Wto wyskocy, budzie chłap!

---

Janicku zbójnicku, zbójecki hetmanie,  
kaś podział piniondze, co jo robiel na nie?

albo:

— Luptowski hetmanie,  
— coś nie robiel na nie?

---

Ej co jo sie nahodziel po tym lesie cirnym,  
teroz se wyzirom okiéneckem ciémnym.

---

Hej z Orawskiego Zomku hłopcy poziérarajom,  
Cy sie popod Tatry bucki ozwijajom?...

albo:

Ej cy popod Tatry bucki wyrastajom?

---

Orawa, Orawa, wysokie stawiańce,  
wtorędy hadzali hłopcy na barańce!

---

Jo w turnickak urós, mnie turnicki ciesom,  
kie mie nie zabili, to mie nie powiesom!

---

Kie my se pudziemé na pana jednego,  
to sie podzielimé talorkami jego!

---

Kie my se pudziemé popod las hodnickem  
albo:

Hej wirskem, hłopcy, wirskem, samym se hodnickem

---

budziemé miérzali dukoty kotlickem!

---

Zbyrcaly łańcuski, zbyrcaly okowy,  
kie nos prowadzili bez zomecek nowy!

---

Zomecku, zomecku, nowo murowany,  
hej siedział jo w tobie rocek okowany,  
siedział jo na zomku bez rok i bez tydzień,  
nigdyjek niewiedział, kiedy noc, kiedy dzień!

---

W Nowym Targu siedzieć jest co opowiedzieć,  
kie po portkak bijom, to biéda wyleżeć!  
W Nowym Targuk siedział, nic mi nie zrobili,  
ino finfundzwanzig na portki wycieni.  
Hej, kie mi wycieni pięć dwadzieścia palic,  
to jo se poprawiel na zadku nohawic!

---



Jawory, jawory ke macie konory?  
Zbójnickowie ścieni, na fujarki wzieni.

---

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie,  
jego freirecka mało nie zaginie.  
Pije zbójnik, pije za ten talor bity,  
nie płac, freirecko, napijes sie i ty,  
coby twoje ocka za mnom nie hladziły (szukały)  
kie mie wiésać pudom na jawór zielony.

---

Hej w polu jo w polu, hej nie na zbojecce,  
powiedzcie, powiedzcie mojej freirecce!  
Zbójnicku, zbójnicku, mos freirke ładnom,  
dojze poziór na niom, bo ci jom ukradnom!

---

Orawski Zomecku, pięknieś murowany,  
zawiedli mie do cie, okuli w gajdany,  
okuli w gajdany, dali mi posłanie,  
jo se nieborocek tylko płakał na nie.

---

Popijaj, popijaj, Nowy Tarzek mijaj;  
Nowy Tarzek minies, niebój sie niezginies!

---

Galica, Galica, malučki Galica,  
ukrodeś owiecke, nie ujdzies Wiśnica!

---

E dy wy Koślowie uzyliście dobra,  
teraz wom sie świecom na Wiśnicu ziobral.

---

Siubienicke krzesom z cieniuśkiego drzewa —  
nie takik siubienic na Janicka trzeba!

---

Uciekoj, Janicku, hore dolinami, (wgóre)  
bo cie jedzie łapać ryktar ze synami.

---

Jano, Jano, siry zbójnik (szeroki)  
on se zna po horach kazdy hodnik,  
ej kazdy hodnik, ej kazdom pérciom,  
ej tobie Jano łańczuzki zazbércom!

---

Janicku nieboze zenom cie w powrozie,  
zleześ se poradziéł, miéły mocny Bozel!

---

Gęsiółki mi grajom, basicki basujom,  
na moje nozecki raciozki gotujom.

---

Ponizéj Cisowca, nizéj Malinowca,  
zabili Janicka, zabili z pistolca.

---

Ej na tej polskiej stranie ej daj nam Boze zdrowie,  
ej na luptowskiej ceście ej daj nam Boze scęście!

---



Syćko se poziérom na te moje rucki,  
cy sie na nie zdadzom zelazne obrucki?  
Zdadzom ze sie zdadzom ino se zasłuzem —  
to mie ozweselo, kie świat zegnać musem. (?)

---

Zginies ty, zginie jo, cobyk ino kciała,  
inobyk na tobie słówecko pedziała.

---

Matko moja miła, cemuś mie nie biła?  
Kie mie wiésać pudom, bedzies sie hańbiła.

---

Moja matka place, moja matka krzycy,  
kiedy mie chycili w Rymarskiej Stolicy.

---

Wiedom ze mnie wiedom, coz mi robić bedom?  
Wiedom mnie ulickom ku tym siubienickom.

---

Krzesom subienicke popod samém dworem—  
Wtoz hań budzie wisiał? Kaser z derektorem—(ja-  
kieś okradzionej przez zbójników kasy: zbó-  
jecki dowcip.)

---

Moja miła przemilena  
tyś mie dała do więzienia,  
do więzienia do takiego,  
ze nie wyjńdem nigda ś niego.

---

Na dole, na dole siubienicek troje,  
wybieraj se śuhaj, wtore bedom twoje?

---

Specjalnie o Zakopiańcach krążyła piosneczka:  
Byli ci to byli ci Sieckowie chłopcy:  
ozbili zomecek po miesiącku w nocy.

---

Juhasi, juhasi, skoda wasej krasi—(to znaczy krasy,  
urody)  
co was powiésali za te zółte własi! (włosy)

---

Siedziem nas, siedziem nas, zginie tu jeden z nas,  
abo ja, abo ty, abo towarzis nas.  
Owce moje, owce, nieg was pasie wto fce,  
jo was paść nie budziem, bo ja na zbój pudziem.

---

Ej mnie ułapili, jako ptoska w sieci,  
na moje nozecki słonko mi nie świeci.

---

Kiedy sie rusymy z wirchu Marusyny,  
zomek ozbijemy, zoden nie zginiemy!

---

Po za bucki, po za hraść,  
pudziem chłopcy zbijać, kraść,  
ej za hory, za hory,  
na luptowskie talory!

---



E coż mi po tobie dziewczce pod wstążkami,  
kiedy jo okuty na krziz łańcuskami!

Freirecko moja, podź mnie odprowadzić,  
by na ten wirsycek, ka mie majom zabić.

Ty sy Jano ty sy chłap,  
Ty sy ozbił biły hrad, (biały gród)  
biłe hradzkie piwnice,  
budzie s tobie zbójnicek!

Na zbój hłopczy, na zbój, wto sie w nozki cuje,  
a wto sie nie cuje, niechaj nie próguje.

Panowie, panowie, nie dajcie mie zgubić,  
ja wam bedem za to siedem rocków służyć.  
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,  
coby ja nie siedział na Wiśnicu darmo!

Hej! jakzeby było zol memu kohaniu,  
Kieby mie powiedli z wirsku ku muraniu!\*)

Powiadala ja ci daj poziór na siebie,  
hamerscy hajducy bierom sie po ciebie.  
Obiesom cie Janku za pośrednio ziobro,

\*) Murań w tem znaczeniu (lub murowaniec) znaczy zamek.

juz ci pote bedzie zbijać niepodobno.  
A kiej mie obierom, moja dusa wstanie,  
budzie ona hladzić (odwiedzać) freirki na sianie.

Kiej mie obiesicie, obieściez mie w mieście,  
barylke z palenkom nade mnom powiędzie  
tam budem se wisiał, budem se spocywał,  
tam budem co kwila palenku popiwał.  
Obróć ze mnie, mistrzu, ockami ku drodze,  
nieg jo sie napatrzem tej zbójeckiej chodzel (droga)

Mikułas, Mikułas, ty se bystre miasto,  
do tobie przestrono, ale w tobie ciasno!  
Mikułas, Mikułas, mikułaskie mostki,  
kań sie potyrajom śwarnyk hłopców kostki!

Trzymaj ze se trzymaj swojom fantazyjom!  
Jo jej nie popuscem, hociaj mie zabijom!

Piniązki, talary, zkadbyście sie brały,  
kieby nase rucki na was nie rabiały?

E dy jo se pijem, ale nie za swoje:  
za ludzkie piniondze, za ludzkie modzele! (nagmiotki).

Zbójnicy mieli swój język, o ile mi się zdaje,  
w wielu wyrażeniach pokrewny ogólnemu złodziej-



skiemu polskiemu żargonowi; treść tylko będzie odmienna.

Handrusi (złodzieje) we wirsku, sikorka (?) w do-  
linie.

wto artykę (wódkę) kirzy, knaje (dąży) ku ślainie  
(kochance).

Handrusi knajali, tak sobie sifrali (mówili),  
e ze na facyanku (?) niedźwiadka zbuchali, (kufer  
ukradli)

niedźwiadka zbuchali, forse zajuchcili (zabrali pieniądze),

przyknali do kudłaja (Żyd), tam ją przekirzyli.

Siorsa (droga) burkowana, karcma murowana,  
dyc hań stoi w niej kacmarka niesifrana.

Przyknajali do niéj trzój handrusi dodnia,  
siedneli se za stół, dziakneli (skrzესali) se ognia.

Ognia, se dziakneli, dulki podulili, (fajki ?)

śwarnom kacmarecke ku sobie tulili.

Kacmarecko nasa pozwól ze nami zagrać,  
pięknie potańcować, poknajemé zaraz.

Nie knajcie siorsami, tylko manowcami,  
dziaknem na karego, poknajem za wami.

Syn Sabaty. Jan Krzeptowski, śpiewał mi długą pieśń, „śpiewankę ostatniego zbójnika, Jana Chronca”.

Horni hłopcy byli, na Hroniu pĳali (Gronie—wieś),  
a wójcia Białcanie na nik śpichowali (zastrzegali  
się).

Jak ik ośpichowali, do miasta znać dali, (do Nowego Targu)

mieskańcy panowie wojaków posłali.

Wojocy tam przišli, tam nas wyhytali,  
do Nowego Tyrchu na odwach zagnali.

Na jutro na rano w ratus sykowali,  
tam nase nozecki w puta zaputali (pęta).

Miescanie panowie w Orawu pisali,

Orawcy tam przišli, tam nas poznajali (poznawali).

Jak nas tam poznali, to nom powiedzieli:

wyście nom, huncfuci, piniażki zabrali!

My im powiedzieli, że my im nie wzieni

ino tysic zlatych, a dwa tysic zlatych na dwore  
niechali,

jesce my im za nie piéknie dziakowali (dziękowali),  
po pietnast obusków w hlavu rachowali. (Piętna-  
Wrrr!                               ście obuchów w głowę.)

Inną, zgoła odmiennego tonu jest pieśń, skomponowana w więzieniu, także przez młodego Sa-  
bałę śpiewana:

Uświadczy teraz w więzieniu  
po swych uciechach, radości,  
o, jak w okropnym nudzeniu  
rozmyśla teraz o wolności!...  
Stracił wolność z młodości.



jagze jej teroz załujem,  
narzykać musem, bo cujem...  
Skowronek leci do góry,  
a słowik w gaju nuci: (siedział gdzieś w dolinach)  
cegoz mie kraty i mury  
odłacać majom od ludzi?  
Oj hereście, hereście, ty nieszczęsna dziuro!  
Jak cię weter (waerter) zawre, to on cię wytrzyma,  
dyc on cię wytrzyma, wymorzy cię głodem,  
jak on cię wypuści, cyni sie świat miodem,  
cyni sie świat miodem, cyni rodzynekami,  
a jo nieboroczek za trzoma zomkami.  
O Boze mój, Boze, wyzwól ze mie ztela, (stąd)  
wyzwól ze mie ztela, z białego kastela,  
cobyk tu nie siedział, nik o mnie nie wiedział,  
ino jeden Pan Bóg, Panienska Maryja...  
Dała mnie tu wsadzić jedna kanalijska... (Rym jedy-  
ny w swoim rodzaju, w którym sobie zbójnik  
ulżył.)

I Goszczyński, i za nim albo obok niego w kil-  
kanaście lat później Ludwik Zejszner przytaczają  
pieśń, której ślad już się nie zachował, o której  
Goszczyński powiada, że jego zdaniem, jest to „je-  
dna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami  
ludu”. I jeden, i drugi—jak wogóle—spisali tę rzecz  
w fatalny sposób, sadząc błąd wymowy na błąd,  
a niedołężna korekta dopsuła ją do reszty. W re-  
konstrukcji brzmi tak:

Hanciu moja, podź du domu,  
wydom ja cię niewiem komu,

wydom ja cię Janickowi,  
hej walnemu zbójnickowi.  
Jano, Jano, tegiś zbójnik,  
wiés po wirhak kozdy hodnik,  
we dnie idzies, w nocy wrócis,  
a mnie biédnom tylko smucis.  
Mos kosulke uznojonom,  
a sablicku zakrwawionom,  
Jano, Jano, kajeś ty był,  
coś se sablicku zakrwawił?  
Wyrubałek tu jedlicku,  
co stojała w okienecku,  
we dnie, w nocy hurkotała,  
mnie smutnemu spać niedała.  
Przyniós ci jej chusty prac,  
a niedał ik ozwijać.  
Ona prała, ozwijała,  
prawu rućku nadybała.  
W tej rucyce pięć palusków,  
a na małym złoty piestrzeń,  
w tym piestronku troje wrótka—  
„dyc to mego brata rucka”,  
Niedługo sie obowała,  
do matusie odsyłała:  
„Matko moja przemilena,  
cy mom bratów syśkik w doma?”  
„Córuś moja, nic z jednego,  
z tyk to siedmi nomłodsego...”  
Skoro wyseł rok półtora,  
nagodził jěj Pon Bóg syna.



„Lulaj buba synu mój—  
nie bydź tak, jak ociec twój!  
Na kaski byk cie siekała,  
orłom, krukowi ozsyłała!”  
A on za smreckami słyszy  
i od złości cały dyszy.  
„Śpiėjaj, Hanciu, jakś śpiėjawała,  
kiedyś syna powijała.”  
„Lulaj buba synu mój,  
byś był tak, jak ociec twój!  
We winie byk cie kąpała,  
a w jedbowie powijała!”  
„Oblec, Hanciu, drogą satkę,  
a pudziemy na przechadzke.”  
„Dwa rocekiki s tobom zyla,  
na przechadzki nie hodziła.”  
A wzion ci jom za rucycku  
i zawiód jom do gaicku,  
ocka corne jej wydłubał,  
racki białe jej odrubał.  
Osplakał sie syn jej młody,  
nimóg ojcu on dać rady.  
„Wstań ze, Hanciu przemilena,  
podź, utul twojego syna!”  
A som poseł w skały, lasy  
i nima go po té casy...

Pieśń jest rzeczywiście i oryginalna, i piękna,  
i zupełnie w swoim charakterze odrębna. I Go-  
szczyński, i Zajsner przytaczają następujące do  
niej objaśnienie:

Pewien zamożny gazda miał siedmiu synów  
i bardzo urodziwą córkę, między zalotnikami do  
niej był i zbój. Ojciec znalazł go jako porządnego ga-  
zdę, nie robił więc trudności w oddaniu mu cór-  
ki. Córka również zostaje w niewiadomości, ani  
jej przez myśl przechodzi, aby miała być małżon-  
ką zbrojnika; jednakże po jakimś czasie pożycia  
niepokoi ją odludne położenie ich domu pomię-  
dzy najdzikszyimi skałami i bory; na różne domnie-  
mania naprowadza zbyt częste oddalanie się mę-  
ża z domu. Wypytuje się o przyczynę i wyrzuca  
z płaczem, dlaczego jej nigdy nie otworzył skrzyni  
ze swojemi rzeczami i dlaczego bielizny do prania  
nie daje — (między ludem niemasz ważniejszego  
powodu do posadzenia męża o niewierność, jak  
kiedy nie daje bielizny do prania), lecz Góral da-  
je jej same wykrętne odpowiedzi, które jej wcale  
nie mogły zaspokoić. Zdarzyło się po jakimś cza-  
sie, iż pewnego wieczora powrócił do domu bar-  
dzo zmordowany i ze skrwawioną bronią. Przełękni-  
ona żonaypytywała go i tym razem, ale napróż-  
no. Postanowiła więc czekać stosownej pory, i kie-  
dy mąż znowu gdzieś poszedł na dni kilka, otwo-  
rzyła skrzynkę i znalazła w niej pomiędzy bielizną  
prawą rękę; po pierścionku na małym palcu po-  
znała rękę najmłodszego swego brata. Już teraz  
przekonała się, że jest małżonką zbrojnika, i w ci-  
chości znosiła swoją dolę nieszczęsną. Niedługo  
stało się, że Pan Bóg dał jej syna. Raz, gdy go  
lulała do snu i dawała przestrogi, aby się nie wdał



w ojca, mąż ją podsłuchał. Wszedł do chaty i kazał powtórzyć piosenkę, ale biedna dała jej inny obrót, pochlebny dla męża. Nie zmiękczyło to zbójcy, kazał żonie odziać się w świąteczne szaty, wywiódł gwałtem w las odludny i odrąbał ręce za to, że otwierały skrzynię, a oczy wydłubał, że przepatrywały jego rzeczy; poczem odprowadził niešťczęsną do domu, a sam poszedł w Tatry i nie było więcej o nim słyhu.

Tak mniej więcej do ostatnich czasów przechowało się w pieśni zbójnictwo podtatrzańskie, a być może, że niegdyś snuto na jego tle to, czego właśnie ludowej polskiej poezji braknie, t. j. całe długie skończone w sobie rapsody bohater-skie, których fragmenta, rozbite na najdrobniejsze części, przechowały się do czasów Goszczyńskiego, Zejsznera i naszych, o blisko ośmdziesiąt i blisko siedmdziesiąt lat później. \*)

\*) Śpiewanek, cytowanych w tekście w rozdziale „o Janosiku” i „o zbójnikach”, nie powtarzam po raz drugi.

## POJĘCIA RELIGIJNE DAWNYCH GÓRALI

Wojtek Gewont, nieboszczyk już, poszedł raz, młodym będącprzewodnikiem, w góry i „pod Polskim Grzebieniem przisiadła gmla jak ciasto. Ni-jakim świecie nimógek wiedzieć, ka mom iść, a ono ta pćrc jesce wte tako wydeptano nie bćla. Upytalek panów, coby na kwile siedli, a som lecem, modlem sie, *ka jaki świenty...*”

Sabała, kiedy miał do chrztu z Modrzejewską syna Witkiewicza trzymać, że nie był „naucony s tćm robić”, a „coby sie nie pohańbić”, idzie do ś. p. ksićdza Stolarczyka, proboszcza w Zakopanem, rozpytać się „jako to trza”, a rozpoczyna w ten sposób: „Przepytujem tys wasom duhownom osobe i syćkie świentości, jakie ta we was siedzom...”

Świadczy to o poufnych stosunkach. Ten, nie mogąc drogi znaleźć, leci jej szukać, modląc się „gdzie jaki świenty”, tamten przeprasza duchowną osobę i wszystkie świentości, jakie w niej siedzą. Jest to uznanie, przyznanie, ale niezbyt osobliwe



uszanowanie. Kto z dawniejszych gości zakopiańskich pamięta Kubę Jędrasiowego, pospolicie Kubę Kołodzieja, nazywanego czasem dla nadzwyczajnie wykwintnej urody „markizem”, przypomina sobie jego sceptyczny dyskretny uśmiech, bo nikogo urazić nie chciał. „E dyć ta może, może” — ale do kościoła ani do spowiedzi nigdy nie szedł. Nie zaprzeczał on Pana Boga, ale on był gazda na swoim, a Pan Bóg na swoim, i nic sobie nie mieli wzajem do powiedzenia. Przypuszczam, że gdyby się byli spotkali, toby mu się Kuba ślicznie uklonił, bo miał dworne maniery, a Pan Bóg starszy, pan i hrubsy gazda. Ale co do nieba — e ta jako fciało... Dawni Podhalanie mało mieli z kościołem do czynienia. Jeden był w Szaflarach, drugi w Chochołowie. Dziecko, jak pilno było trzeba, „e to ta i samy baby ukrzcily z wody i bęto”, a, jak opowiadał Sabala, kiedy kumoter dziecko do chrztu zaniósł, a ksiądz się spytał: — „Zej cegos ty kces od kościoła Bozego?” — to mu pedział tak: — „Zej wy ta jegomość lepiěj wicie, boście ucony — haj.”

Bywali też specjaliści od noszenia do chrztu i był także taki „urzędnik” w Zakopanem; kładł on dziecko do torby juhaskiej, poowijał frombijami, t. j. taśmami do noszenia, żeby mu było ciepło, dobierał sobie babę kumoszkę i niósł do kościoła. Ale raz w zimie wstąpili z kumoszką przed kościołem do karczmy, a dziecko, zawieszone na ciupadze, wciętej w węgiel kościelny, zmarzło, więc

chłopa „z urzędu zrucono”. A kiedy kumoszka narzekała nad duszą, chłop na to: — „E ta dusa, kie uciekła, to jako kciała, ale go skoda, bo miał palce długie, byłby muzyka ś niego na gajdak grać dobry”.

Dzicz, kiedy kościoły zaczęto budować na Podhalu, była straszna. Do dziś opowiadają, jak w Poroninie po sumie w niedzielę chłopci kapelusze na głowy kładli, lampę z przed ołtarza nadół ściągali, „lampas”, jak mówili, i zapalali od niej fajki. Potem szli do karczmy tańczyć, ale i ksiądz osobliwszy był, bo szedł razem z nimi i tańczył.

O pierwszych chwilach pobytu księdza Stolarczyka w Zakopanem, pierwszego tu proboszcza, opowiada klasyczne rzeczy Witkiewicz w „Na Przełęczy”. Szkoda, że niektórych ludzi nie można w bronz wtopić razem z ciałem i duszą. Drugiego takiego księdza na świecie nie będzie i nie było. Chłop jak dąb, olbrzymiego zupełnie wzrostu i postawy — (kiedy go Wojtek Mateja pierwszy raz spotkał, wykrzyknął zdumiony: „Ej jegomość, dyabli wam w rzici grali! aleście hłopi!”) — niezrównanym był kaznodzieją w stosunku do ludzi, do których mówił. To jest nieodżałowana szkoda, że tych kazań nikt nie notował. Ksiądz rozmawiał poprostu z chłopami z ambony. Pamiętam, kiedy mówił à propos złodziejstwa: — „Myślicie, że jo nie wiem? — mówił dialektem. — Wiem w Kalotówkak o jedném, w Małolące o dwok, przy Stawak zaś znowu o jedném. Ma ta człowiek krowy, owce, to się dowie hnet...”



A owe opowieści o podróży do Ziemi Świętej, gdzie na ośle jadąc, nogami do ziemi „dostają”, gdzie na piramidę wylaząc, przewodników Arabów odpędził, „bo jo ta gór zwyczajny”, wszystko z ambony do półdzikich drapieżnych chłopów i półdzikich samiczych bab językiem Sabały gwarzone. — „Nas jegomość nieboscyk to se tak do ludzi z ambony radziéli, jako hojwto w izbie urodzo abo w polu, ale go ludzie strasni radzi widzieli i mieli za co, bo mu wse dobrze rozumieli i to bël ksiądz, a nie bzdura!...\*)” — mówią starzy chłopci z żalem.

Miał ksiądz pleban jedną słabość, a tą były piękne podówczas dawne Zakopianki. Kiedy więc raz Sabałę za niezbożny żywot piekłem ktoś straszyl, Sabała odrzekł: „E ta prosem pięknie ik miłości wielkomoznego państwa, kie hań jus jegomość do nieba ze swoim siedemdziesiorgiem dzieci wlezie, toz to jus i jo jakosi po boku wkiełznem, a kizby to dyascy byli aj byli, coby ksiądz nie do nieba poseł, kie umierał bedzie za case?...”

Starzy Górale wyobrażali sobie Pana Boga jako gazdę na ogromnym majątku, ubranego jak oni, tylko zawsze „bars fajnie”, jak na święto, gazdującego jak oni przy pomocy Syna Pana Jezusa, Ducha Świętego, Matki Boskiej i Świętego Józefa, a aniołowie byli za parobków. „Gazdowstwo zwyczajnie hrube, wielgie, to i robotnika trza, jele hań wto mo robić służbę w niebie.”

\*, Bzdura—coś małego, nikczemnie wyglądającego, byle co.

Pan Bóg, Pan Jezus światem rządzą i wszystko wiedzą, i klasyczny ustęp znajdujemy w „Śpiących rycerzach” p. Stopki, gdzie Pan Jezus, zniecierpliwiony „nukaniem” Świętych w sprawie owych rycerzy, odpowiada: „Ja o tém syćkiem wiem, bok przecie Pon Jezus i światę rządzem, a wy Świenci mi nie napowiadajcie, co mom robić, bo jo se rade dom, hoć jek ino jeden...”

Nadzwyczajną historję à propos religijnych obrządków znalazłem w papierach Jędrzeja Sulei z Kościelisk. Półdziki chłop, co węgle palił, został po śmierci matki sam i chciał się ożenić, bo go nie miał „wto oprac i ucesać”. Poszedł więc do kapliczki z Panem Jezusem i „pytał go” czyli prosił, aby mu się z Kaśką od Pięćkolonki ożenić dopomógł. Aby Go dobrze upytać, chciał Go nawet do pustego jawora na Zahradziska na zimę przenieść i tam postawić, ponieważ byłoby Mu tam cieplej i nie wilgotno i ponieważ w jaworze tym pochował uprzednio swoją matkę, która się spaliła, wpadłszy do ogniska z węglami, „to nie bedzie cliwo Pana Jezusa, bo se bedom wroz”. Ale gdy krzyż do ściany przymarznięty był lodem i ruszyć się nie dał z kaplicy, nie przyszło to na myśl Kubie, tylko tak się odzywa: „Ehe! Wiem, o co Ci idzie! Kazdy tys to ino na swoim śmiecisku rod siedzi, to je roz! I kie Ci sie jus tak widzi, to siejdz...”

Idzie potem do Kaśki od Pięćkolonki i oświadcza się jej; zostaje przyjęty, tylko Kaśka mówi o ślubie. Na to Kuba: „Na teraz to nom dość wystarczy, kie



weźniemy ślub przy kaplicy na Kościeliskak. Jest hań Pon Jezus, krziz—i sydzko, co trza."

— Je kie to tak jakosi bedzie pono nijako? — mówi Kaśka.

— Nie wierz! — odpowiada Kuba. — W Kościeliskak zrobimy tak, jako i hodźka (gdzie bądź). Pon Jezus hań jest i to barz dobry. Jo ta jus dziś uradziół ś Nim o tém, to wiem... Jo Go hań tak nie ostawiem, bo widzem, ze worce tego... Ślubu nom zazrościół nie bedzie... A kie bedziemé mieć piniondze, to se zojdziemé w Chohołów i ślub drugi weźniemé, jak nom go bedzie trza.

Idą do kaplicy, uklękli, złożyli ręce i Kuba mówi:—„My tu na popróznicy nie przišli, wiera nie, ba po ślub. I trza nom go duskem dziś! Bo my zwyczajnie w grzyhu i na wiare zyc nie kcemy".

— O, wiera nie! — dodaje Kaśka.

Naraz jednak pewnego dnia w chałupie Kubowej zjawiają się dziesiętnicy, posłani przez wójta, aby z cebrzykami gnać Kubę i Kaśkę, pewni, że na wiarę siedzą; bo taki był zwyczaj, że za to cebrzyk przywiązywano na plecy i, bijąc węń kijami, prowadzono. Kuba, ze zbójeckiego rodu chłop, dziesiętników „wyprał” i wyrzucił z domu, ale uradzili z żoną, że skoro tak, to trzeba do Chohołowa po ślub do kościoła iść.

W kościele nigdy nie byli, nawet po chrzest, bo ich ochrzciły baby w domu samą wodą. Zabrali „życie” (żywność) i ruszyli, a była zima.

Kuba wziął od wilków długi węglarski kij, Kaśka łopatę, a odzieli się, w co mieli, bo był mróz.

Kiedy lasy przebyli i do Witowa, do wsi, doszli, stawali tam ludzie na ich widok, a wołali:—„Is, is! Boginki idom!”—Bo Kaśka była ubrana w chustę do samej ziemi, a Kuba w bundę czarną rusińską po ojcu, też do ziemi, z kołnierzem do pasa, czego we Witowie nikt nigdy nie widział. Ludzi się zebrała „cała procesyja” i szli za nimi, aż się kościelnemu wydało, „że biskup z księdzem” z procesją zbliżają się do plebanji, skutkiem czego ksiądz kazał na gwałt bić we dzwony i wyszedł naprzeciw z kropidłem, a organista z chorągwią. Witowanie wtedy na kolana za Kubą i Kaśką i poczęli bić się w piersi, wołając:—„Boże, przeboc nom, bo nie wiemy, co cynimy! E, dy to księdza musom być, kie ig nos probosc z organistym wita...”

Na słowo *ksiądz* i Kuba z Kaśką na kolana padli, a Kaśka, widząc po raz pierwszy w życiu dzwony na wieży i widząc, że się ludzie biją w piersi, ozwała się do Kuby: „Kuba! Bij sie w piersi i mów za mnom: — O, wy przenoświętse boze kiwadła, co was tak za święte ogony trzesom, dajcie nom ślub! A Ty Wielgi Boze, co się tak głośno dresico Cie tak prec slyhno, módl się za nami...”

Działo się to może temu lat sto, może więcej, ale nie więcej jak lat temu pięćdziesiąt ksiądz Stolarczyk nie mógł bab i dziewczek oduczyć, żeby pieśni nabożnych nie śpiewały w kościele na nutę jak „za krowami”.



### SKARBY W TATRACH

Otóż jest noc cicha, gwiazdzista, a oni z rozpalonemi twarzami, z błyszczącemi oczyma siedzą w szałasie koło watry (ogniska) i z wygasłemi fajkami, z półotwartemi ustami słuchają. A stary baba, jakiś Zwijac z Ustupu, Budz z Gronia czy Zych z Witowa, opowiada swoim juhasom o zaklętych w górach skarbach. Bo jego własny stryk nieboscyk widział w Jarzambcej pieniądze, jako się przesusajom na korycie do miesiąca, a on sam nieraz i nie dwa razy ich posukował w halach. Idzie raz w nocy ze swoim przyjacielem (krewnym) kopać świstaki w jesieni pod Pośrednim Wierchem i dało mu się pojąć na lawom renke w dolinie poza Mniczem i zobaczył coś, co błysło, jak złoto. Ale śnać nie był godny tego szczęścia, bo nic nie znaleźli między skolmi (między głazami).

Wielu chłopów znałem, którzy szukali skarbów w Tatrach, z tych wiem, że Sabala Krzeptowski z Kościelisk naprowadził swego najstarszego syna Jakóba na zakopane pieniądze zbójckie gdzieś

koło Chochołowskiej Doliny i te syn jego posiadł. „Po Matejowi po Wojtkowi” (po Matei Wojtku) zostały pokryte i zabrane. Jędrzej Wala z Walowej Góry w Zakopanem, ten sam, co duszka w kierpcach w Kościeliskach szlakował, miał pewne wskazówki, że w Staroleśnej Dolinie w kolebie skarby zakopane są. Wybrał się tam ze swoim szwagrem, krawcem Michałem z Gładkiej, i szukali. Ale znaleźli tylko nóż, miechurek na tytoń i wykalacz do fajki czy też fajkę. Wala potem zasnął, a Michał czuwał, wtem do koleby wlał chłop. Michał się strasznie przeląkł i na Walę krzyknął, a w tej chwili ów chłop się odwrócił i wyszedł. „To bęł jakiś duk, ale dobry.”

Skarby były dwojakiego rodzaju: pieniądze, zakopywane w ziemię przez zbójników, albo też skarby przyrodzone podziemne, strzeżone przez duchy i smoki.

Opowiadają górale, że właściwie pierwsi, którzy szukali skarbów, to nie byli oni, ale ludzie z dolin, „od Lachów”, przychodzący z książkami i różnemi „sposobami”. Były to „spiski”, które ojciec synowi albo przyjaciel przyjacielowi przekazywał.

Goszczyński pisze: „Wyżej jeszcze niż Pięciostawy (Pięć Stawów) leży jezioro, zwane Żabieniec (?), mało zwiedzane dla skał nadzwyczajnie przykrych dokoła, dla ścieżek niebezpiecznych, także z powodu zimna, bo jezioro przez dziesięć miesięcy jest pod lodem. (Być może, że jest to



dzisiejszy Teryjański Staw w Niechcyrce, niezbyt od Pięciu Stawów odległy, prawie zawsze zamrzły; w tamtej stronie innego jeziora, podobnie zamarzającego, niema). Owóz do tego jeziora przychodzi siedmiu Czechów, ścieżkami im tylko wiadomymi. Muszą oni wydobywać tam złoto (które w Krzywaniu kopano), bo po ich odejściu znajdowano żużle, a nawet piecyki. Ale nikt dotąd nie zeszedł ich śród roboty.

„Amantissime! — pisał ktoś w XVIII wieku. — Pytaj się do Spisza ku Kiesmarkowi, tam się dowiaduj o jakiego Górala, któryby wiadom był tamtejszych gór. Mając tedy przewodnika, idź do miasta Bialej i stąd idź chodnikiem do Koperszachtów, (Koperszady pod Hawraniem) i tak dalej... potem idź chodnikiem do Czarnego lasu na dwoje strzelenia z hakownicy, (na strzelenie ze strzelby do dziś mierzą Górale odległości...) Na lewej ręce wyżej ciebie spady wysokie, z których woda ciecze do plosa (jeziora...) na tym spadzie są znaki takie: głowa, ręka, krzyż, sześć gwiazd, na gładkiej wyciosane skale... na drugim spadzie są te znaki: trzy krzyże, dwanaście gwiazd i te litery: T M W P Z Z G N I W. Ale się tego waruj każdemu wyjawiać, boby każdy na to miejsce trafił, a to jest małe i od Boga skryte. Po prawej ręce woda, lasek podle tej wody; znajdziesz tam ognisko przyprawione, kędy my legamy, kiedy niepogoda (autor był zapewne strzelcem...) Od tego ogniska jest chodnik, pod las przez kosodrze-

winę wyrabany; idź za nim na strzelenie z łuku; po lewej ręce ujrysz przy samym chodniku świerk, na nim wyrabany taki znak M... obróć się doliną, alias ścieżką, jakoby na dwoje strzelenia z procy... szukaj na południe, na ciśnienie kamienia ku jednej skale... Najciężyc będzie na dwóch miejscach wyleźć w górę; a tam ujrysz dziwy dziwne — maluśką łączkę, a na niej pagórek, gdzie cudzoziemcy jadają(?); na nim tam może odpocząć a posilić się... przeciwko rozpadliny jest na drugiej stronie przez dolinę ku wschodu słońca jedna wysoka turnia; na niej mnich jakoby misternie wyciosany był; około tego mnichowego gardła jakoby obręcz złota, to jest najwyższy znak od Pana Boga postanowiony — gdy wschodzi słońce, to uderzy od niego blask aż do samej rozpadliny... Pod mnichem, umiarkuj sobie, jest wielki kamień, położony przy skale przez rozpadlinę: na tym głowa wyrabana człowiecza. A na drugiej stronie jest most wyrabany... ujrysz jeden kamień szeroki, pod którym sobie cudzoziemcy ogień składają. Pod tym kamieniem znajdziesz cekan i grance i płok(?) jak groch złoty i jako orzechy włoskie, wielkie, wewnątrz czyste, zwierzchu czarna łuszcza, ale tego nie bierz, idź przeciwko wielkiemu turniowi, gdzie mnich stoi, a ujrysz dobrze, już cię uczyć nie trzeba (znak krzyżyka w rękopisie.)

...Żal je jezioro, jako koryto, podobne do siew-



nego wozu—małe, wąskie, jakoby je umyślnie wykował. Około niego skały dziwne jako pień, jako filary, a widzi się, jakoby miały upaść. Między temi skałami jest wiele dziur wielkich i małych; a gdy tam przyjdiesz, klęknij na kolana, podziękuj Panu Bogu, że ci tam dał dojść, i prosz Go, żebyś we zdrowiu stamtąd wyszedł i tego używał we zdrowiu, Pana Boga chwalać, ubogim dobrze czyniąc...

A potem dobrze patrzaj, ujrysz tam jedną dziurę jako na dwa łokcie od ziemi, do której najciężej wniść. Tam znajdziesz kank (garnek) złoty, jako winna beczka, brunatna jako szkarłat; a gdy odetniesz, mieni się jako miedź najciemniejsza, a w tym kanku są drogie kamienie jako karbunkuly, a ziarno jako bob, jako groch, jako łaskowe orzechy, jako kokosze i gęsie jaja. A gdy odetnie siekierą, jak się drugi ulupi, jako orzechowe ziarno. Ale nie życzylbym brać kamieni, bo byś musiał iść z niemi do Wenecji; tuby ich nikt nie kupił... Ale lepiej nabierz złota, co Pan Bóg da, a potem idź pod spad do wody, co spada od Żabiego jeziorka, tam sobie skrzysz ognia. Potem kołac cekanem albo siekierą; gdzie będzie dudniało bardzo, tam otwórz; albowiem bardzo mocno zaprawiona dziura.

Wleż tam, a znajdziesz po prawej ręce kank, jako piwna beczka, nakrapiany drogiemi kamieniami, które rzeczy w je'nem noszeniu stoi za 40.000. Co w nim jako groch, temu daj pokój. Po-

tem patrz po lewej ręce jest kank drugi, złoty; sobie miarkuj, ujrysz wyżej siebie dwanaście stopniów wyrąbanych; wyleż wgórę, tam znajdziesz dziurę zaprawioną, a w dziurze jest złota mocka, także i drogiego kamienia. Nabierz, cò się podobą.

Jest tam słup złoty—stoi jako żywy; a w środku tego cmentarzyska, od tego słupa i mni-cha, ciągną się promienie i odnogi złote na wszystkie strony... właśnie jak korzenie rozciągają się.

Wychodząc zaś stamtąd, jest (sic) słup srebrny, tyli jako i złoty, bardzo wielki, ku niczemu nie porównany. Jest też tam słup albo matka drogiego karbunkułu; tam siedzi król Gregorius, a za nim jego Rada i Xiążęta. Nie trzeba tam żadnego światła w tem cmentarzyku, albowiem, królew-ska korona tak jasna, że wszystko oświeca. Tam będziesz miał drogiego kamienia dosyć, a Panu Bogu podziękuj, że ci dał takie rzeczy widzieć...

Gdzie indziej, nieopodal tegoż Jeziorka Żabiego:

„...W pierwszej dziurze par wielki i zaduch, trzeba mieć gąbkę, napuszczoną wódką serdeczną i kamforą. Druga dziura wietrzna, lód ze śniegiem, ale po nim przejść może. Trzecia dziura ciepła, czem dalej, to lepsze ciepło i widok; bębnienie i szum wody słyszeć, a tam dopiero łączka piękna pokaże się i źródła nakrzyż.... Po prawej ręce są karbunkuly (w jednej dziurze), w drugiej—złoto, w trzeciej—srebro, w czwartej—miedź wyborna. A jeżelibyś nie chciał iść w te dziury, to ta woda,



co spada we środek krzyża z kamieni, wysoko lecąca — podstaw pod nią płachtę na kijach albo druciane sito, a jeżeli na długi czas zostanie, temperły potłuczone nazbierasz i kamyki różnego koloru".

Wiele jeszcze następuje opisów i przepisów, a wiele się kończy słowami: trzeba mówić zaklinanie i Ewangelię S-go Jana.

„Opisanie Żabiego Jeziorka z nauką i przestroga. Masz wiedzieć, iż tego Żabiego Jeziorka wiele ludzi szuka... Gdy już ku tej dziurze przyjdiesz, zaraz będzie na cię Podskarbi kamieniami ciskać, Przestrzeż tedy swoich socyuszów, aby żadnych złych myśli nie mieli...

Masz zaś wiedzieć, dlaczego my to Żabiem Jeziorkiem przezwali: a to dlatego, że w niem są żabki—jako i inne małe, zwyczajne—białe; a te są wielkim znakiem od Pana Boga. Druga racja jest, że matka bogactw złota i kamieni drogich (rękopis urwany...)

Dalej masz wiedzieć, gdy tego złotego wychodu szukasz, nie masz mieć myśli i intencji panowania albo się wynoszenia w pychę, boć na taki sposób tego Pan Bóg nie da... Znowu masz wiedzieć, że nie każdemu da się wziąć; bo jak panowie ziemscy nad swojemi skarbami strażę mają, tak też i Pan Bóg ma nad swojemi skarbami Duchy, pigmei zwane. Ci Duchowie żadnego tam bez woli Bożej nie puszczą, dlatego umiarkuj się, abys był czystego sumienia, a przychodząc na to

mejsce, Pater et Ave mówił i S-go Jana Ewangelię: in principium erat Verbum—potem sequentem orationem (następną modlitwą):

### ORATIO

A ty Święty Aniele Boży, Patronie mój, któryś strzeżł Pana Naszego Jezusa Chrystusa, położonego w grobie świętym, strzeż i broń mię dziś, tego dnia, także współtowarzyszów moich od człowieka i anioła złego, od nagłej śmierci, od wszystkich strzał, od wszelkiego nieszczęścia i szkody; przez Tego, który mnie i ciebie i wszystko stworzył. In Nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

Nb. Tę modlitwę, wychodząc z gospody, w każdy dzień z rana mówić.

. . . . .

### Odemknienie jamy.

Ja N. zaklinam i przymuszam cię przez niezwyciężonego i zawsze zostającego Boga † żeby wszyscy Duchowie i pochwary widome lub niewidome od tego skarbu i daru Boskiego mnie ustąpiły † żeby żaden mnie z nich nie zatrzymywał ani przeszkadzał w Imię Trójcy Przenajświętszej, Boga † Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego. Amen.

### Zamknienie jamy.

Zaprawiam cię ja N. i ukrywam skarbie w praw-



dziwem Bóstwie, tak, jak się zakrył w prawdziwym chlebie Chrystus, gdy go swoim kochanym uczniom dawał na pokarm w dzień świętej obecności swojej, gdy piekło przełamał; tak te jamy zaprawione i opatrzone być mają, jako kielich i wino, gdy się Bóg przemienił w nim, tak cię zawieram, zaklinam i zamykam przez Boga † Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego, zawiązuję cię związkiem, którym Chrystus piekło przełamał i zwyciężył.

### Zaklinanie.

Ja N. zaklinam was, Duchowie, którzy moc macie pod niebem nad temi darami, niech będzie złoto, srebro, kruszec lub kamienie drogie, żebyście mi objawili na Imię Boga † Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego. Amen.

Mów Ewangelię Ś-go Jana.

.....

Ale nie każde dni są szczęśliwe i dobre do szukania tych skarbów. Umyślałem położyć, któreby były przy pomocy Pana Boga najlepsze, ut inferius (jak niżej):

Dni wybrane, w których się skarby szukać i wykopywać dają:

|                     |                        |
|---------------------|------------------------|
| Januarius (styczeń) | 1, 2, 3, 4, 5, 14, 15. |
| Februarius (luty)   | 1, 2, 3.               |
| Martius (marzec)    | 1, 2, 3.               |
| Maius (maj)         | 1, 7, 12, 15.          |

September (wrzesień) 4, 15, 16, 22.

Qua hora et die (o której godzinie i w jakim dniu):

| Ante meridiem<br>(przed południem) | Post meridiem<br>(po południu) |
|------------------------------------|--------------------------------|
| Poniedziałek 2, 5, 10, 11, 12.     | 5                              |
| Wtorek 7, 9, 10, 11.               | 2, 4, 9.                       |
| Środa 4, 6, 11.                    | 1, 6, 8.                       |
| Czwartek 3, 8, 11.                 | 4, 6.                          |
| Piątek 5, 7, 11.                   | 3, 7, 8.                       |
| Sobota 3, 4, 9, 11.                | 4, 6.                          |

Tak, w streszczeniu, przed 200-tu laty radził jakiś wykształcony poszukiwacz skarbów w Tatrach.

Z podobnemi przepisami nikt już w ostatnich czasach pieniędzy zakopanych ani skarbów szukać nie chodził; szukano ich, gdzie tradycja wskazywała. Do różnych miejsc przywiązane jest podanie ukrytych bogactw, różne są znaki i oznaki. Ślicznie oznaczyli zbójnicy miejsce zakopanych pieniędzy pod Nowym Targiem — tam, jak daleko o wschodzie słońca od kapliczki Ś-go Jana za miastem cień upadnie.

W co jeszcze wielu Górali święcie wierzy, to w owe pieniądze, przesuszające się na korytach. Wydobywają się one z ziemi i świecą, nęcąc oczy, ale najczęściej pilnuje ich czarny baran albo pan, czarno ubrany, niewątpliwie djabeł, bo ma widły. Ale i baran, choć widel nie ma, tęgim jest stróżem, bo kto próbował się doń „nabliżyć”, zaraz życia



od rogów pozbył. Pieniądze te zresztą znikają pod ziemią, gdyby kto się ku nim podkradł, gdy są bez straży: „wjechały w ziem” — to się zawsze słyszy na końcu każdej opowieści.

Nietylko zresztą bogactwa pokryte są po Tatrach: w Kościeliskach była grota zbójecka, gdzie miało być ubranie i uzbrojenie na dwunastu ludzi, towarzyszy Janosikowych, a strzelby miały być pozaczepiane cynglami za sznurki i tak poustawiane, że ktoby się tam chciał dostać, samby na siebie śmierć sprowadził.

Groty i pieczary po górach muszą rozbudzać fantazję ludu, fantazję dziecinną i logiczną, która we wszystkich objawach życia i świata szuka celu, bo ten jej się wydaje naturalnem następstwem faktu. W miejscach więc mogących kryć — szukano, coby kryły, i wierzono, że kryć muszą. Tymczasem zamiast skarbów zaklętych wydobywano z nich często inne skarby, a mianowicie kości zwierząt przedpotopowych, niedźwiedzia jaskiniowego i innych oraz pradawne, prastare ślady ludzkiego przemysłu i artyzmu. W muzeum Orawskiego Zamku są wykopane koło Kubina na Orawskim Podtatrzu odwieczne, epoki kamiennej i bronzowej sięgające narzędzia i ozdoby, miecze, strzały, naramienniki, formy na broń i słynna korona bronzowa, za którą muzeum paryskie ofarowywało dwieście tysięcy franków.

Do wiary w podziemne skarby pobudzało w Ta-

trach i to, że kopano w nich istotnie niegdyś najdroższe kruszce, złoto i srebro.

W XV stuleciu, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, rozpoczęto na Podgórzu Karpackiem poszukiwania kruszców, zaś król Aleksander zbudował drogę od Nowego Targu ku Tatrom, w których za jego panowania w 1562 r. poczęto kopać srebro. Najdawniejsza ta droga, w olbrzymich wiedziona lasach, nie była tą samą, którą przez wiele lat, nim powstała kolej, jeżdżono do Zakopanego, lecz szła ku zachodowi, przez Ludzimierz, Rogoźnik na Orawę do Jabłonki. Wsi, przez które jedzie się do Zakopanego: Białego Dunajca, Poronina, nie było wtedy jeszcze wcale, jak i samego Zakopanego zresztą.

Za Zygmunta Starego był w Kościeliskach „srebrny młyn”, a w kamień młyński, służący do mielenia rudy srebrnej i miedzianej, stoi dziś wprawiony w Dolinie Kościeliskiej krzyż z napisem: — „I nic nad Boga”. Postawił go pierwotnie Wincenty Pol w 1852 r. — później go odnawiano.

Jest kilka podań, przywiązanych do owego kamienia i mogiły nieopodal, przyrzucanej chróstem od wieków: najprawdopodobniejszym jest, że tu leżał pochowany zabity przez opryszków górnik, młynarz od tego srebrnego młyna. Górale utworzyli dwie wersje: o młynarzu, co się sta w i ł (założył), że kamień młyński przewiezie, i kamień go przywalił, i inna wersja o chłopie, co się sta w i ł, że go



zniesie w dolinę. „Zabiło go z brzyzku (brzegu), przywaliło i on tys ta siedzi do dziśka (dzisiaj)”.

Królowie polscy, zwłaszcza Zygmunt Stary, mnóstwo wydali odnośnych dokumentów i przywilejów na kopanie kruszczów w Tatrach. Kopano tam kruszec księżycy czyli srebro; kruszec Wenery czyli miedź i kruszec słońca czyli złoto. Złoto kopano głównie w Krzywaniu, i do dziś są tam ślady kopalni, podobnie jak w Kościeliskach i nad nimi w Ornaku i indziej. Zaniechane kopalnie w Tatrach ożyły za Stanisława Augusta w roku 1765 i znów je wkrótce porzucono; między innymi powodami była i zbyt mała wydajność rudy srebrnej i miedzianej, nie mówiąc już o złocie.

Ostatnią kopalnią była kopalnia żelaza. Wydobywano je głównie w Magórze nad Zakopanem i wożono do ówczesnych kuźnic w Kościeliskach „żelazną drogą”, zachowaną do dziś i zwaną dziś „drogą pod regłami”. Z czasem przeniesiono kuźnice do Zakopanego, tam, gdzie obecnie pozostały po nich ruiny i nazwa. Przed laty dwudziestu kilku kuźnice pracowały jeszcze, ale przetapiając rudę, skąd inąd dowożoną: tatrzańskie szychty i sztolnie porzucono od lat kilkudziesięciu.

Doktor Stanisław Eljasz Radziszewski opracował szczegółowo historię kopalni mineralnych w Tatrach, a także podał do druku z biblioteki Pawlikowskich, we Lwowie, niezmiernie w swoim rodzaju interesujący rękopis: „Michała Chrościń

skiego opisanie ciekawe gór Tatrów”. Rękopis pochodzi z XVII wieku i jest najdawniejszym opisem Tatr, a treścią jego główną są istniejące w nich bogactwa. „Opisanie ciekawe gór Tatrów za Nowym Targiem, na cały świat słynących, wszelkimi klejnotami i bogactwy ozdobionych i niezliczonymi minerałami napelnionych, które są wynalezione od niektórych głęboko uczonych szkół matematycznych filozofów, osobliwie od uczonego Michała Chrościńskiego” — temi słowy zaczyna się rękopis.

Nabożeństwem przejęty jest równie, jak poprzednio cytowany. Oprócz świecy gromnicznej, palmy, dzwonka loretańskiego, wody święconej, mirry, ziółek do kadzenia, tudzież kompasu — ma mieć wybierający się na poszukiwanie skarbów „szpagat, nasmarowany węzowem sadłem, zmieszanem ze szczupakową żółcią, bo od tych dwóch tłustości duchowie uciekają”.

Następują potem wskazówki drogi, którą trzeba ku skarbowi postępować, i mnóstwo przepisów i objaśnień. Naprzykład, na pewnej łące (w okolicy Lodowego Szczytu) znajdziesz korzeń dypłanu, który jest jeszcze przedniejszy, jako w Arabii może się znajdować.

Tego korzenia nie może żaden z tego miejsca wziąć, tylko takim sposobem. Najprzód, żebyś go żadnym żelazem czyli żelaznem naczyniem nie kopał, tylko laską z drzewa jasieniowego, aby była goła ta laska. Teraz okrom tego korzenia takiej



mocy nabędzie, iż wszelkie gadziny jadowite, po ziemi się czołgające, od niej uciekają. Dotknąć jakiej gadziny, w momencie zdycha. Ten korzeń ma moc najprzedniejszych magnismów. Strzały, kule i inne instrumenta, w ciałach, w członkach utkwione, zaraz w momencie bez wszelkiej boleści wyciąga i doskonale goi. Nb. Zamknięte zamki bez klucza otwiera, okowy, pęta rozbija.

*Adjuvo t caeda huic pacem lutioni.*

Daję ci przestrożę i informację o tym korzeniu, jako sobie masz z nim postępować; jeżeli chcesz jego moc zachować i sam siebie, uczyn tak: musisz mieć dla schowania i mocy jego utrzymania ołowianą lub cynową szkatułkę. Tak, żeby się dobrze zamykała, tak, aby mocności odór z niego nie wychodził, bo w innym naczyniu jego nie zachowasz. Także się masz wystrzegać jego zapachu i wonności, bo od niego człowiek wszystkie siły traci, i miesiąc tylko masz mieć do używania wewnętrznego *Balsam Sulphuris* i białe ziele, *czosnek* zwany, liście ma na sobie nakształt złotego. O dwunastu wierzchach kwiatu, niż wyda, aż we dwanaście lat nasienie miewa, jako gwoździki krwawe, kramne, wielkiego zapachu. Olejek, z niego zrobiony, napuściwszy nim bawełnę, przyłożyć na zęby, w momencie wypadną bez żadnego czucia. Do wynalezienia tego dyptanu masz mieć sztukę jeleniego rogu, na sznurku wiszącego, przyciągnie go do siebie jak magnes, albo żeby swojej mocy nie

stracił ten korzeń, masz mieć przy nim tarty róg jeleni.

Znajduje się na tej łące *Nardusowy* korzeń, z którego była maść zrobiona Panu Jezusowi. Ten *Nardus* ma przedziwne skutki, z którego najprzedniejsze robią balsamy, znaczniejsze nad *Tauskie* balsamy złotem nieprzepłacone, który we dwadzieścia cztery godzin najstraszniejsze goi rany, płuca zgniłe, wątrobę do zupełnego zdrowia przyprowadza i leczy. Liście ma na sobie jako *Nardus Rustica*, to jest kopytnik. Rośnie kupami na jednym korzeniu, będzie miał listków trzydzieści i więcej.

Indziej pisze *Chrościński*: Jak wnijdiesz (z jakiej jamy), uczyn trzy krzyże przed sobą, włóż na ogień miry, kadzidla i ziółek święconych, a idź aż na piętnaście kroków, będzie jedno bardzo ciasne miejsce, ale wnet wnijdiesz do przestronnego miejsca jako do wielkiej izby, tu będziesz wielkim strachem zdjęty, że się ani sam ani tam nie będziesz mógł ruszyć, albowiem zobaczysz tam przedziwne i precudowne dzieła Boskie, które żaden język ani zmysł ludzki tego wyrazić nie może, jakie tam Bóg Wszechmogący dzieła swoje dla swoich wierznych stworzyć raczył, ale się nie bój ani lękaj, tylko się ostrożnie sprawuj. Obaczysz tam monstra jak osoby ludzkie, ze samych szczerých drogich kamieni wyrosłe i formowane, w samym środku obaczysz jakby najwyższą osobę od nich pochodzącą, która ma niby koronę na głowie wyrośniętą



ze samych karbunkulów świecących, która wszystkim tym personom swoją jasnością świeci. Tu znajdziesz wszystkiego gatunku, rodzaju na świecie zwierząt, ptastwa i wszelkiej gadziny ziemskiej widowisko ze samego szczerego złota formowane, przypatrz się pilno w ten kącik, gdzie jest słup, na trzy granie wyrośniony, ale się nic nie lękaj, obaczysz sam tam na łańcuchu złotym uwiązanego starca, a to jest stróż tego miejsca strzegącego. Tu sobie tak postap, to cię przestrzegam, abyś nie łamał złotych wyrośnionych person, ani od drogich kamieni ścian nie kował, tylko to, co będziesz widział przed sobą na ziemi już gotowe, dla ciebie nagotowane, to wziąć. Kiedy wyjdiesz, podziękuj Panu Bogu i nie oglądaj się nazad.

W manuskrypcie Michała Chrościńskiego jest także opis osobliwego ziele, „Lunaria” zwanego, po polsku „Świątliczka, enfrazya albo mastyczka”. To ziele rośnie po łąkach, przy wodach, korzeń ma biały albo żółty jako marchew. Ma laseczkę, a czasem dwie wysokie na łokieć jeden albo mniej, jako owies; liście ma okrągłe jako szelągi, koloru niebieskiego albo zielonego z ognistym kolorem, kwiat ma jako fijałka, pachnie jako balsam. Nasienie jego w łupinach rośnie jako wyka w strączkach. Daje się kopać dnia 30-go września, kwitnie na nowiu tegoż miesiąca. Świeci jako świeca w nocy i usycha, kiedy miesiąca przybywa. W dzień się daje widzieć, ziarenka ma jak kwadra miesiąca. Kiedy to ziele zerżniesz, pilnie go patrz, aby ci go

duchowowie nie wzięli albo nie odmienili. Czarnoksiężnicy, jako pryncypałowie, zawsze to ziele do swoich prac i obrządków jest im potrzebne, i onegoż zażywają. Po tem go łatwo poznasz, gdy na wodę wrzucisz, zerwawszy, to płynie przeciwko wody, nie za wodą nadół, a kiedy go wrzucisz w ogień, trzaśnie jak piorun, odmienia miedź w złoto, ale tego nie każdemu powiadaj, aby się nie zgorszył.

Kiedy kto to ziele nosi na gołym ciele, źli duchowie szkodzić mu nie mogą. Kto to ziele przy sobie ma, skarb znajdzie, choćby duchami obsadzony był, wszystkich duchów odpędza tym ziele. Choćby w więzieniu był, to łatwo wynijdzie, i choćby był związany łańcuchem, dybami, powrozami, albo okuty, wszystko spada z niego, jako to ziele będzie miał przy sobie. I wszystkie zamki tym ziele otwierać możesz. Żeby od niego bez bólu wypadają, wypadać zwykły, co się często trafia, i bydłom na pastwiskach, jak go ugryzie. Bać się nie może żadnego postrzału, bo to ziele broni. W kajdanach zamknionym otwiera się ziemia do wyniścia. Kwiat zaś z tego ziele, kto go do gęby włoży, przyjdą mu na myśl wszystkie skarby i wyjawia mu się. Kiedy kto tym listkiem zakadzi ku zachodowi słońca, to jest przed wschodem słońca, przyjdą do niego dobre duchy i rozmawiać się z nim będą; o cokolwiek ich się pytać będzie, dowiesz się od nich. Kiedy ich się chcesz pozbyć, zakadź mieczykiem i Bolesławiem ziele: zaraz



ustapia. Z tego ziela wyciąga się miazga jako wosk i kładzie się do stokowej wody; daj ją wypić; wszyscy kochać cię będą.

Wszystkie drogowskazy do skarbów tatrzańskich mówią o „Żabim jezioru”, jako o kluczu do nich, miejscu, gdzie ich szukać trzeba. Żabich stawów jest w Tatrach wiele, żaden jednak nie jest owem zaczarowaniem czy czarodziejskim żabim jeziorkiem. Jak się doktor Eljasz Radzikowski domyśla, wyszło już ono (jak wiele jezior w Tatrach, jak jezioro za Mnichem nad Morskiem Okiem i jezioro nad Popradzkim Stawem, które również miało być rybne, jak niedługo wyschnie Długi Stawek pod Gerlachem i stawki w Staroleśnej Dolinie oraz w wielu innych miejscach). Było ono gdzieś w stronie Lodowego i Jaworowych Sadów, „nie większe jako wóz siana”, „podobne siewnemu wozowi”, i tem zdumiewało ludzi, że jak każde schnące jeziorko, w czas suszy nikło i jeden je widział, a drugi nie, to znaczy, że jeden widzieć je „był godny”, a drugi „nie był godny”.

Oprócz Żabiego jeziora Morskie Oko było także tajemniczym miejscem skarbów. I tak opowiadał stary, nieżyjący już człowiek: „Jest hań kasi w kosodrzewinie, popod Hrubym Wirhe (Mięguszowiecki szczyt nazywano dawniej Hrubym Wierchem, oprócz Hrubego Wierchu pod Krzywaniem i w Chochołowskiej) jama. Do tej jamy trza mieć kielę świecek, boby je trza często gęsto ostawiać, temu, że sie chodnik w nuku skały kręci jak wąż. W samem

zadku (na końcu) jest hań sala wielga jak kościół, a na pośrodku klęcom trzójmi (trzej) mniki (mnichy). Dopieroż sie kazdemu śnik trza barz pięknie pokłonić, a dopiéroż pote mozes skarby, com hańsom jest, brać, jele nie więcyl, ino telo, kielo na roz ciupagom urąbie. Jakbyś więcyl fciał wziąć, to cie w te razy w te razicki złe zabije. Hań niepeć inacyj cosi konać (zrobić), ino tak, jako przepis stoi. Hań ani sięła, ani odwoga nic nie płaci (nie znaczy); nie wyonacy hań cłowiek nijako, ka Pon Bóg władze i przikazuje”.

Każda okolica zresztą ma swoje skarby zakłete. Dla Jurgowianów i Białczanów są one w Holicy, w Zamkach, w Szerokiej Jaworzyńskiej, w Żabim i Młynarzu, dla Podspodziań, Zarzan pod Hawraniem, pod Jatkami, w Jaworowej Dolinie, dla Zakopian pod Gewontem (grota ze słupem diamentowym, skarbów również mnich pilnuje), dla Kościeliszczan pod Pisana, w Katerusie (dzisiejszy Ratusz we wawozie Krakowskim), na Pysznej (tam zresztą i zbójceckich pieniędzy mają być trzy worki), dla mieszkańców Orawic pod Rohaczami, pod Osobitą i tak dalej, i tak dalej. Zeszedłszy zaś od Tatr w Beskid, w Gorce i Kluczki w Nowotarszczyźnie, albo w Niżnie Tatry nad Wagiem i Popradem, zobaczymy to samo. Żabie Jezioro i Morskie Oko są tylko najgłówniejszymi punktami poszukiwań.

W naturalnych grotach tatrzańskich nie znaleziono prawie wcale śladów stosunkowo niedawnej bytności ludzkiej. Znaleziono w Magórze kości



przedpotopowych zwierząt, w grocie Kasprowej nie znaleziono nic, w grotach, których jest wiele w Kościeliskach, także, o ile mi wiadomo, nic nie było godnego uwagi. Jedynie w grocie pod Pisana Goszczyński, który pierwszy jeśli tam nie wchodził, to przynajmniej ją opisał, natrafił na ślady ludzkiej bytności. Za jego czasów, przed laty siedmdziesięciu kilku, różne dziwy opowiadano o tej czeluści skalnej. Jedni opowiadali, że zwiedzano ją z pochodniami i dotarto do olbrzymiej sali z kolumnami i ozdobami, świecącemi jak diamenty; na środku sali miało być jezioro, źródło Dunajca. Inni twierdzili, że trzy dni i trzy noce można iść tem podziemiem, aż się wyjdzie na szczyt jakiejś góry. Inni jeszcze twierdzą, że siedzi tam duch, który zgniewany, zrzuca na dolinę ulewy i burze.

Goszczyński wchodził tam dwa razy; oto jak opisuje pierwsze wrażenie:

„W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mnie dokoła; bałwany wody za każdym razem silniej uderzały i huczały głośniej; stanąłem na chwilę: huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali; mieszanina tysiąca najsprzecznieszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nigdy w życiu mojem nie słyszałem, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdawało mi się w tej chwili, że otwierają się tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczną przesuwac

się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach; spodziewałem się, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór, nieznamy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki; uwierzyłem na chwilę w nie-tykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych...”

Goszczyński znalazł w tej wodnej grocie podziemnej tram, obrobiony ręką ludzką, i szkło potłuczone w wyłobieniu skały. Jeden z późniejszych badaczy skonstatował podstemplowanie sklepienia palami z drzewa i na sklepieniu dojrzał wyróżnionego w głazie Górala z ciupagą, podniesioną jak do uderzenia. Jeżeli rozbójnicy tam się kryli, to lepszej kryjówki znaleźć nie mogli.

Dla ludzi, którzy dziś poznają i zwiedzają Tatry, których nie łączy z niemi dłuższa tradycja, którzy widzą je tylko takimi, jakimi dziś są, częścią terenem turystów sportowców, częścią nawet niemieckim zwierzyńcem — ten urok ich czegoś tajemniczego, pozaludzkiego, oderwanego od świata nie jest do odtworzenia, a może i nie do pojęcia. Nigdy też już nie wróci im dawny czar i wskrzeszać go może tylko oderwana od świata i taka właśnie najpiękniejsza, najczystsza i najprawdziwsza poezja.

Dwa jeszcze osobliwsze opowiadania, którem świeżo słyszał od Starego Szymka Krzysia, chcę przytoczyć. Pierwsze o cudownej trawie, która zamki otwiera. (Należy przeciąć rękę lub kolano,



włożyć w przecięcie trawkę, aby zarosła, a potem wszelkie drzwi się otworzą.) Wspominanego już Kubę Kołodzieja landsdragon przyprowadził do Sącza, ponieważ się do wojska nie chciał dać zwerbować \*). Tam zamknięto go w areszcie wraz z jakimś wędrownym. W nocy pyta się go wędrowni: Kces uciec?

— E, jakoz, kie my zaparci (zamknięci)?

— To nic. Kces?

— Je i coż mi s tego, kie mię znowu zaprejom (zamkną).

— No to bydź zdrowy.

Wstał, malučko tyrknon kolane w dźwirze, dźwirze się otwarły i wyszedł do pola. W kolanie zarznionom trawę miał.

Tej trawy (oprócz tego wypadku, że można ją kosa natrafić, przyczem kosa „sfyrknie“ z kosiska, a trawa, rzucona na wodę, oddziela się i płynie pod prąd), można tak dostać: gdzie dzieciół ma młode lub jajka w gnieździe w dziupli, trzeba otwór zatkać kolkiem; wtedy on przyniesie w dzióbku trawę i otworzy gniazdo. Potem będzie szukał watry (ogniska), aby ją w nie rzucić. Trzeba go śledzić i w chwili, kiedy puści trawkę „z dzioby“, złapać ją, nim do ognia doleci.

A drugie opowiadanie jest takie: w pewnej wsi koło Nowego Targu, gdzie już był podówczas kościół, zbójnicy podczas rabunku zamordowali czło-

\*) Lat temu ze sześćdziesiąt.

wieka. Stało się to w nocy, a rano zabiegli oni w ucieczce pod Goryczkową, aby się na Węgry przedostać. Ludzie jednak we wsi obaczyli mord i poczęli we dzwony kościelne bić, a liny posmarowali krwią zamordowanego. „I co powiecie, panie? Kiele dale (jak daleko) doleciał zwon, zbójnicy niémogli przekroczyć. Tak jak kieby ig obręcom ujeno. Niémogli nijakim swiate hore (wgórej) na Goryckowom Przełęc iść, ta krew wej zabitego nie dała. I tam ig ludzie došli i pohytali, bo sie ino zwyrtali po lesie jak zacarowani, a uciekać, nie-daj Boze, nie zdołał zaden. Takom moc miały te zwony.“

KONIEC





## SPIS RZECZY

|                                            |        |
|--------------------------------------------|--------|
| Przedmowa. . . . .                         | str. 5 |
| Bajeczny świat Tatr . . . . .              | " 38   |
| Janosik . . . . .                          | " 58   |
| Zbójnicy . . . . .                         | " 64   |
| Pieśni zbójeckie . . . . .                 | " 102  |
| Pojęcia religijne dawnych Górali . . . . . | " 125  |
| Skarby w Tatrach . . . . .                 | " 132  |

## POSIADAMY NA SKŁADZIE

następujące tomy

## LUKSUSOWO OPRAWNE

zawierające:

- Komplet 1 (1 tom) **Karol Dickens** — Opowieść Wigilijna,  
Dwa miasta
- " 2 **Adolf Dygasiński** — Pan Jędrzej Piszczalski,  
Dramaty Lubadzkie
- " 3 " " — Na złamanie karku,  
Von Molken
- " 4 **Bruno Winawer** — Ślepa Latarka, D-r Przybram,  
Lepsze czasy
- " 5 **Kazimierz Tetmajer** — Księżniczka Metella,  
Gra Fal
- " 6 " " — Legenda Tatr
- " 7 " " — Romans p. Opolskiej,  
Otchłań
- " 8 **Lew Tołstoj** — Zmartwychwstanie
- " 9 **Sinclair Lewis** — Babbitt
- " 10 **W. Baranowski** — Romans sekretarza posel-  
stwa i **W. Grubińskiego** Nowele
- " 11 **Maurycy Jokay** — Inne czasy, inni ludzie
- " 12 " " — Poruszymy z posad ziemię  
3 t. (I—II—III)
- " 13 " " — Poruszymy z posad ziemię  
t. IV i V. — Atlantyda
- " 14 **Jack London** — Syn słońca, Serce kobiety
- " 15 " " — Zew krwi, Przygody w zatoce  
S-Francisko, Bóg ojców jego
- " 16 **Aleksander Dumas** ojciec — Trzej muszkie-  
terowie

2994



- Komplet 17 **W. Jagniałkowski** { — W legji cudzoziemskiej  
 „ „ **B. Adamowicz** { — Triumf żółtych  
 „ „ **K. Junosza** { — Na bruku  
 „ 18 **Wiktor Hugo** — Nędznicy 3 tomy (I—II—III)  
 „ 19 „ — Nędznicy 3 tomy (IV—V—VI)  
 „ 20 „ — Nędznicy t. VII i VIII oraz  
 „ **E. Zola** Marzenie  
 — „ 21 **Józef I. Kraszewski** — Chata za wsią oraz  
 „ **P. Choynowski**: Kij w mrowisku  
 „ 22 **N. Szczedryn** — Judaszek oraz **A. Puszkina**:  
 „ Czarny Orzeł i Dama Pikowa  
 „ 23 **A. Bennett** — Anna z pięciu miast, Rozrywki  
 „ Miljonera  
 „ 24 **H. G. Wells** — Niewidzialny, Wehikuł czasu,  
 „ Kraina Ślepców  
 „ 25 **H. Rosny** — Walka o ogień, Lot w nieskoń-  
 „ czoność

Każdy tom oprawny w płótno, ze złotymi artystycznymi ozdobami na okładce i grzbiecie książki, zawiera 480—600 stron druku.

Cena księgarska—Zł. 4<sup>50</sup>, dla prenumeratorów—Zł. 3<sup>35</sup>.

(Koszty przesyłki od tomu gr. 50).

Oplacać można przez **P. K. O. № 11140**, markami pocztowymi, przekazami lub za zaliczeniem przy zadatkowaniu <sup>1</sup>/<sub>4</sub> należności markami pocztowymi.

## List zwrotny DO BIBLIJOTEKI GROSZOWEJ

w Warszawie  
Moniuszki II m. l.

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

### Biblijoteka Groszowa.

Należność, z przesyłką pocztową:  
 Za kwartał (13 tomów, łącznie  
 z dwutygodnikiem Magazynem  
 i in. dodatkami) **zł. 9 gr. 95**  
 „ kwartał w oprowie **zł. 13 gr. 95**  
 jednocześnie przesyłam przekazem  
 (P. K. O. 11.140)  
 proszę pobrać za zaliczeniem pocztowem, z doliczeniem kosztów zaliczenia

Wiersz nie-  
potrzebny  
przekreślić

Imię i nazwisko .....

Adres .....

prosimy wyślić



Zamówienie

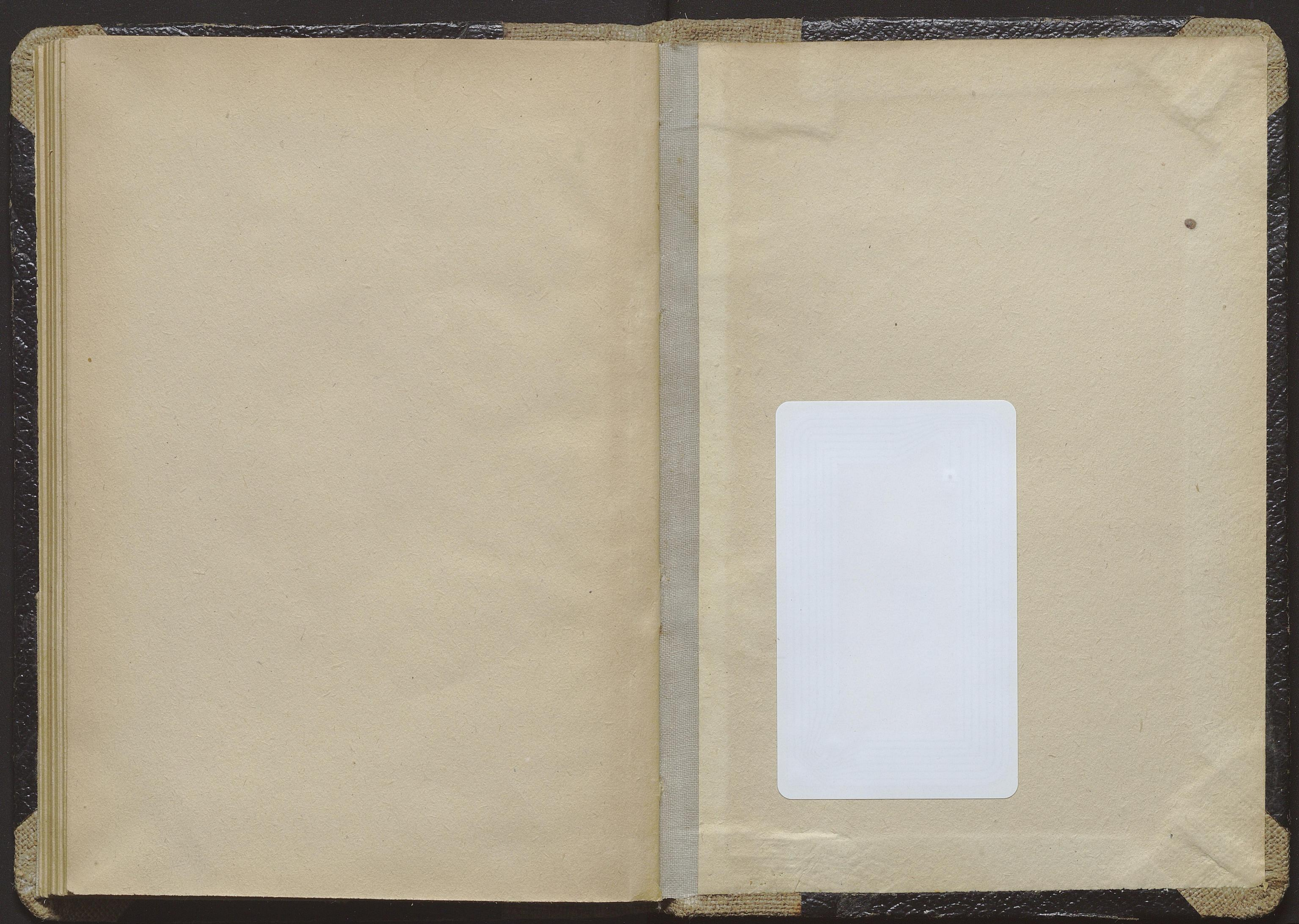
Do

*Bibljojteki Groszowej*

w WARSZAWIE

*ul. Moniuszki 11/1.*







2994

Ar

